MYŚL NARODOWA

TYGODNIK POŚWIĘCONY KULTURZE TWÓRCZOŚCI POLSKIEJ

ROK XVI. Nr. 22 WARSZAWA, 24 MAJA 1936 R. CENA NUMERU 80 GR.

DWA FRONTY

I

PRZYSŁUGĘ zrobiła masonerja światu cywilizowanemu, rzucając hasło jawnego organizowania frontu ludowego. Głucha, anonimowa robota, prowadzona podstępnie, kryta pozorami samorzutności rozmaitych, niezależnych jakoby od siebie, dążeń, — proklamuje się już wspólnym sztandarem „ludowości". „Front ludowy" łagodniej brzmi, niż front rewolucyjny, a dogodny jest przez to, że uderza w czułą strunę trosk społecznych ostatniego stulecia, w strunę ludu.

Każdy, kto choć cokolwiek orjentuje się w stosunkach europejskich, widzi, że ani w Hiszpanji, ani we Francji, ani w Polsce nie o „lud" chodzi. Hasło jest oszukańcze. Robota bowiem nie jest ludowa, prowadzi ją elita oświeconej międzynarodówki w widokach zupełnie innych. Walka toczy się o byt cywilizacji chrześcijańskiej. Cóż wygrał „lud" w Rosji? W niebezpieczeństwie są podstawy życia społecznego i politycznego narodów.

Nie posiadacze, burżuazja, kapitał walczyć muszą z „frontem ludowym", lecz narody. Jest to walka ponad społeczna i ponad polityczna, bo walka o cywilizację. Walka raczej religijna: obrona Krzyża.

Sytuacja stała się jasna. Stoją przeciwko sobie dwa fronty: jeden narodowy, drugi międzynarodowy, organizowany przez żydów. Długo trwała maskarada, zanim nareszcie wyklarowała się prawda. Przyszedł w końcu czas, że trzeba się zdecydować na wybór frontu.

Nigdzie bodaj nie widać tak jasno tej prawdy, jak w Polsce, gdzie nie sztab tylko jest żydowski, ale znaczna część armji frontu „ludowego", gdzie prasa napoły żydowska nie tai motywów i planów walki. Nieprawda, że tam jest lud. Lud jest podstawą sił narodowych, tu jest armja polska, z narodu wyłoniona dla obrony jego dziedzictwa, tu jest twierdza ducha polskiego, w której Kościół najsilniejszym bastjonem. Niemniej wszystko może być zagrożone, gdzie niewiedza, brak czujności i zdrada otwierają wrogowi dostęp do wnętrza.

Stronnictwem narodowem, godnem miana Narodowego, może być tylko takie ugrupowanie, które wartość cywilizacji historycznej docenia i myśl społeczeństwa na tej podstawie organizuje. Ta myśl podstawowa obrony cywilizacji narodowej, oparta na elementarnym instynkcie samozachowawczym narodu, nie ma nic do przehandlowania, musi być szczera i wypowiadać prawdę do dna. Nie może się podawać za obrońcę narodowego ten, kto ze względów oportunistycznych udaje, że nie widzi w Polsce żydów i masonerji.

Stronnictwo Narodowe wytrzymywać musi niesłychaną presję ze strony wrogów Polski i polskich oportunistów, aby żydów i masonerji nie widziało. Za cenę tego ustępstwa wygodni konsumenci dziedzictwa polskiego obiecują stworzenie wspólnego bloku „prawicy", jako frontu przeciwstawnego frontowi lewicowemu. Nie mamy prawa skazywać narodu na dobrowolną ślepotę. Ktoś prawdę widzieć musi. Sumienia nie wolno głuszyć dla chwilowych korzyści partyjnych.

Stronnictwo Narodowe apelować musi od „partyjnictwa" do mas narodowych, do ich instynktu narodowego i nie dopuści do konszachtów z frontem lewicowym, nie tającym już planów zniszczenia Polski na wzór bolszewicki. Stronnictwo Narodowe nie da się stropić ze swej drogi tym, którzy mu zarzucają — jako hańbę — nacjonalizm polski.

Ci, co zgodnie z najgłębszym głosem sumienia w sprawie narodowej działają, niosą za nią odpowiedzialność. Niech odpowie, kto uczciwy, i myśleć potrafi, niech odpowie instynkt ludu, czy można w drodze kompromisu z komunizmem zapewnić Polsce przyszłość, aby nie zginęła jako osobowość historyczna?

II

To też opinja publiczna, bardzo zaniepokojona istniejącym w Polsce i w Europie stanem rzeczy, z wielkiem zainteresowaniem przyjęła do wiadomości komunikat Komitetu Głównego Stronnictwa Narodowego z d. 10 maja. W komunikacie tym czytamy między innemi:

„Nie jest to jeszcze stanowczy atak komunizmu na kraj, komunistyczna rewolucja, ale okres przygotowywania sobie mas do tej rewolucji i zatruwania myśli społeczeństwa pierwiastkami rozkładu, które muszą się rozpowszechniać, ażeby rewolucja mogła się udać. Pomagają je szerzyć liczne żywioły, które pozornie dalekie są od komunizmu. Wspólnie wzięte, tworzą one tak zwany dziś „front ludowy” — nazwa występująca i w innych krajach, służąca do połączenia tych wszystkich, którzy, według ostatniej komendy z Moskwy, mają w przejściowym okresie przygotować panowanie komunizmu.

Łączenie tych żywiołów, które komunizm, jak wiemy, w końcu odrzuca, a nawet bezwzględnie tępi, postanowione zostało ze względu na to, że w obecnej chwili komuniści postawili sobie za pierwszy cel — walkę z dążeniami narodowemi, z nacjonalizmem, czy, jak dziś lubią go nazywać, „faszyzmem”. Żywioły różnorodne, w różnym stopniu pozbawione ducha narodowego i wyzute z poczucia obowiązku względem Ojczyzny, szeregowane są tu do wspólnej walki z dążeniami narodowemi. Prowadzą one tę walkę jawnie ręka w rękę z komunistami, bądź, sprzyjając im, torują im drogę do zwycięstwa. W Hiszpanji i Francji partje lewicowe, znajdujące się w rządzie, pod hasłem utrzymania porządku w kraju używają organów bezpieczeństwa do dezorganizowania i osłabiania narodowców i ułatwiania roboty komunistycznym wywrotowcom, dając im coraz większy wpływ na rozwój stosunków politycznych w kraju. U nas czynione są usiłowania, by polska polityka wewnętrzna poszła tą samą drogą.

W naszej Ojczyźnie walka ta ma charakter szczególny ze względu na wielką liczbę żydów, którzy w miarę wzmacniania się narodu polskiego skazani są na stopniowe opuszczanie kraju. Skutkiem tego to, co się nazywa „frontem ludowym“, jest w głównej swej masie „frontem żydowskim”: żydzi przytłaczają swą liczbą żywioły polskiego pochodzenia w organizacji komunistycznej, stanowią znaczną część socjalistów, niezorganizowany tłum żydowski dostarcza masy na ulicę, a inteligencja żydowska jest główną siłą umysłową „frontu ludowego“.

Odbudowaną niedawno Polskę czeka poważna próba. Będzie to próba państwa, jego władz, jego organów, wszystkich narzędzi, któremi ono rozporządza, ich myśli kierowniczej, ich umiejętności, ich ducha i energji. Nadewszystko atoli będzie to próba narodu, który jest, jako całość, odpowiedzialny za siebie, za swój byt, za swą przyszłość, za ustrój swego życia, za swe państwo — odpowiedzialni są wszyscy, bez względu na to, czy mają, czy nie mają udziału w organizacji państwa i jego prowadzeniu.

Będzie to więc przedewszystkiem próba nasza, próba obozu narodowego polskiego, który od swych początków, w ciągu czterdziestoletniego przeszło istnienia był w miarę swych sił wyrazem Polski odradzającej się, dążącej do stania się z powrotem zwartym i silnym narodem i do odzyskania opartego na trwałych podstawach państwowego bytu.

Obóz nasz przeprowadził szereg walk wewnątrz społeczeństwa polskiego. Bliższe poznanie przeciwników wykazało, że w każdym właściwie wypadku po za nimi stali żydzi, coraz wyraźniej przeciwstawiający się dążeniom polskim, starający się paraliżować w naszem społeczeństwie wszelkie siły, prowadzące Polskę do stania się niepodległym, wielkim narodem, obniżyć je tak, by zapewnić sobie gospodarstwo i rządy w naszej Ojczyźnie. Używali do tego rozmaitych haseł, zaczynając od sentymentalno-patrjotycznych, a kończąc na wywrotowych.

Na czele tych, którzy im na drodze stoją, widzą słusznie świadome, rozumiejące, w czem leży siła narodu, i mające poczucie obowiązku względem Ojczyzny żywioły, wyrażające to poczucie nie w słowach tylko, ale w twórczym czynie, w ofiarach i poświęceniach. Dlatego organizują dziś walkę przedewszystkiem przeciw zorganizowanemu obozowi, przeciw Stronnictwu Narodowemu. Liczą, że gdy tę siłę złamią, wtedy w zdezorganizowanem społeczeństwie łatwo swe rządy zaprowadzą.

Walka z komunizmem rozmaicie przez różne koła u nas i w innych krajach jest rozumiana. Dla nas, dla obozu narodowego, jest to walka przeciw ruchowi obcemu, barbarzyńskiemu, idącemu na zniszczenie cywilizacji rzymskiej i chrześcijańskiej, która nas wychowała, w której się zorganizowały narody Europy i w której wyrósł człowiek, wyzwolony z niewolnictwa, mający poczucie swej godności ludzkiej, przywiązany do swej samodzielności i dążący do nieustannego postępu duchowego.

Komunizm, wytwór umysłu żydowskiego, stawia sobie za cel zniszczyć społeczeństwo, naród, historyczne więzy, dzięki którym ludzie mogą razem, z jedną myślą, dla jednego, wspólnego celu pracować i razem przeciw wrogom się bronić; a jednocześnie dąży do zniszczenia człowieka, do zniszczenia jego duszy, która wyrosła, wychowała się w pracy licznych pokoleń, do odebrania mu religji, Ojczyzny, poczucia swej godności i swej samodzielności, swobody decydowania o swoim losie, rozporządzania owocami swej pracy, odbiera mu własność warsztatu pracy i narzędzi do niej, ażeby go samego uczynić pozbawionem woli narzędziem tych, których nad nim postawiono. Mówi mu, że w jego imieniu rządy sprawuje, ale jest największym gwałtem nad jego wolą i nie waha się go mordować, gdy się temu gwałtowi chce opierać.

Słusznie też komuniści widzą w obozach narodowych największego wroga i największą dla siebie tamę do zwycięstwa. Przygotowując swoje siły do ataku w naszym kraju, zaczynają od wypowiedzenia nam walki.

W okresie, który się rozpoczął, rozumiemy potrzebę wzmocnienia tej walki i dania jej ściślejszego, bardziej planowego kierownictwa“.

III

To nie jest głos jakiejś „partji“ — to mówi wiara narodu po głębokim rozmyśle, wiara nielicząca się z interesami żadnej partji, wiara, którą

mieć powinien w duszy każdy czynnik, za dzieje narodu odpowiedzialny.

Stronnictwo Narodowe ma prawo domagać się, aby jego opinje uważnie były słuchane; tylko łobuzerja polityczna ludzi nieodpowiedzialnych może je zbywać konceptami, że obóz narodowy swoje przestrogi wymyślił dzisiaj na użytek rozgrywki taktycznej z tym, czy z innym rządem. Sprawa obrony cywilizacji polskiej była postawiona przez nasz obóz już w r. 1897 w pierwszym programie stronnictwa (pod zaborem rosyjskim).

A jeden z twórców tego programu, Jan Popławski już w r. 1890 w „Głosie" wprowadził sprawę żydowską na porządek dzienny dyskuji publicznej. W „Przeglądzie Wszechpolskim" z roku 1902, pisząc o syjoniźmie, nakreślił on taki pamiętny horoskop, który już w XIX wieku stanął przed oczyma Polski, wierzącej dotąd w asymilację:

„...Z ciemnego i ubogiego pospólstwa żydowskiego wychodzić zaczęły coraz liczniejsze jednostki, które zwiększyły zastęp rzekomo zasymilowanych. Ten zastęp nie już z każdem pokoleniem, bo to sprawa niemal jednego pokolenia — ale z każdym corocznym kontyngentem wchodzących do szkoły lub ze szkoły w życie, miał coraz więcej właściwości żydowskich.

„Ci żydzi coraz tłumniej, a więc coraz śmielej wchodzili w nasze życie, nawet bezczelnie wciskali się przebojem, wnosząc w nie wszystkie znamienne rysy swej umysłowości, swej odrębnej etyki i obyczajności. Inteligencji polskiej groziło zupełne zżydzenie".

Widziano tę tragedję narodu już kilkadziesiąt lat temu! A ta groza rosła odtąd z każdym rokiem! To też w programie Stronnictwa z r. 1897 poświęcono akcji ratunkowej w tej sprawie artykuł 12, a w art. 33 („Obrona kultury polskiej i samoistności życia") p. 8 zalecono: „Przeciwdziałać rozkładowym wpływom umysłowości żydowskiej i przewadze szablonów kosmopolitycznych w naszem życiu duchowem".

To, co dziś widzimy w postaci frontu ludowego, to militarna realizacja tego widma, przed którem ostrzegaliśmy przed pół wiekiem bezmała. Myśl polska przewidziała to niebezpieczeństwo wcześniej niż myśl polityczna innych krajów, pokutujących dzisiaj za swoją uległość złu, lub zagrożonych.

Myśl polska, w środowisku tak zaniedbanem pod względem kultury politycznej, ciężko pracowała, zanim doszła do jasnej świadomości położenia i z wielkiem poświęceniem walczyć musiała przez cały ten czas z ciemnotą polityczną i złą wolą czynników, usiłujących zmylić narodowi orjentację.

Komunikat obecny stronnictwa jest dokumentem historycznym. Nadszedł krytyczny etap walki. Na ciężką próbę wystawione są rozum polityczny i żywotność narodu.

Z. W.

MYŚL I ŚWIAT

W DOBIE dzisiejszej, kiedy t. zw. dotąd metafizyka wkracza zdecydowanie w dziedzinę fizyki, kiedy uczony staje się większym fantastą od poety, a Jeans uczy szerokie rzesze międzygwiezdnego marzenia, także i literatura coraz częściej zajmuje się takiemi problemami, jak czas i przestrzeń, położenie człowieka we wszechświecie i t. d. To już nie moda literacka, lecz konieczność rozwoju wiedzy zmusza nas do zajmowania się rzeczami, dotąd bliskiemi tylko dla specjalistów.

Maeterlinck, piszący oddawna na pograniczu filozofji i nauki, odezwał się znowu[1]). „Niebieski ptak" jest zapomniany narówni z „Życiem pszczół", dalsze tomy *essay*'ów filozoficznych po *„La Sagesse et la Desinée"* były mało czytane. Teraz dopiero takie książki mogą wzbudzić większe zainteresowanie, z powodu zbliżenia się nauki do życia czy odwrotnie. Badacz życia termitów zajął się od jakiegoś czasu dziedzinami, gdzie królują Bergson i Einstein: zagadnieniem przestrzeni, stosunkiem jej do czasu, położeniem ludzi w świecie, teorją względności. Dyskutuje z nauką, bierze z niej natchnienie do swych poszukiwań i myśli. Nie zapomina o swych „Ślepcach" i o beznadziejnej bezsilności księżniczki Maleny w rękach losu. Tylko ten los przybiera obecnie groźne rysy *fatum*, wszechświatowej tajemnicy istnienia.

„Le Sablier" powtarza wiele ze studjów poprzednich, jak *„La vie de l'espace"* lub *„La grande loi"*. Porównanie z niemi przynosi ostatniej, obecnie omawianej książce, oskarżenie o arbitralność. Z biegiem czasu Maeterlinck w swej samotności myślowej oddalił się, o ile je uznawał kiedyś, od wszelkich autorytetów. Jest pewny siebie, choć zawsze sądzi o wysiłkach ludzkiego poznania, że niewiadome nas otacza i że żyjemy w ciemności.

Człowiek jest dla niego zawsze bezradnym ślepcem, zagubionym w lesie tajemnic, nie znającym nawet pierwszej sylaby wielkiej zagadki. Maeterlinck stawia podświadomość u progu niezbadanych krain i czyni ją tłumaczką, pośredniczką między ludźmi a światem poza ludzkim. Ale „w języku żyjących niema na to głosu" — i może ona zaledwie niewyraźnie bełkotać.

Postaci sztuk Maeterlincka, te marjonetki czujące, lecz bezwolne, wplątane w olbrzymie losy świata — wszechświata—i nic o nich nie wiedzące, to alegorja położenia człowieka wobec niezmierzonych sił, składających się na poza—ludzką rzeczywistość. Nie możemy nie wiedzieć. U progu nowych badań myśliciel konstatuje: „Na początku wyznaję, że nie wiem nic". Dotąd nie odkrył prawdy: „dlatego szukam jej jeszcze na prawo i na lewo, przedemną i pozamną, w świetle i w ciemności. Przez chwilę zdaje mi się, że ukazuje się ona w materji, lecz w chwilę potem zauważam, że objawia się w duchu" (*„Le Sablier"*, str. 7).

Prawda jest zakryta dla człowieka — więc poco jej szukać? „Tak, ale jeśli wszyscy zamilkną, nie będziemy wiedzieć nawet tego, że nic nie wiemy, i nikt nie będzie próbował wyjść z ciemności". Maeterlinck tedy określa owe ciemności. Bardzo sceptycznie, śmiało rozważa najnowsze pojęcia nauki o czasie, przestrzeni, gwiazdach i podświadomości, dodając wiele własnych głębokich perspektyw. Mądrość to bardzo niebezpieczna. Myśliciel, który stoi poza systematami, nie chcąc tworzyć własnego, uznający Boga nieosobowego, lecz nie wyznający żadnej z ustalonych religij, wybrał drogę pełną przepaści. Czasem śród tych ostrych szczytów, gdzie zaprowadziły „ścieżki

[1]) Maurice Maeterlinck: *„Le Sablier"*, *Paris, Bibliothèque Charpentier et Fasquelle*, str. 249, 1936.

w góry" wiodące, wieje wiatr przestworzy i w szczelinach skał otwierają się rozpadliny, ukazujące rzeczy pozaludzkie. Jednak wędrowiec świadomie błądzi, bo nie ufa wytkniętym drogom. Wynika z tego forma myślowa, analogiczna do formy układu książki: szkice, fragmenty kilkustronicowe, czasem jedno, parę zdań osobno jako aforyzm. Perspektywy, otwierające się z najnowszych zdobyczy nauki, poetyckie wizje, nieprawdopodobnie śmiałe hypotezy, trochę *boutades*, dużo materjału do rozważań filozoficznych, parę aforyzmów pozornie głębokich o dnie płytkiem—w sensie brak określonej wiary, choćby najbardziej heretyckiej.

U podstawy twierdzeń jednak spirytualizm: „*L'univers est esprit*" (str. 64). Świadomość ludzka nie zna tajemnicy pozaludzkiej — i obraca się w ciasnem kole własnych granic, własnych umysłów. Być może nie mamy jeszcze organów do postrzegania całych olbrzymich, nieantropomorficznych istnień, światów, promieni. Czy ludzkość przyszła będzie wiedziała więcej? „Czy trzeba wierzyć, że są szczyty, które są nam nazawsze wzbronione? Ale przez co lub przez kogo? Być może przez nas samych" (str. 132). Myśl, zawarta w „*La sagesse et la Destinée*" — że człowiek sam jest kowalem swego losu, urabiającym niewiadome siły przeznaczenia przez swą wolę, zjawia się i tutaj. „Każdy człowiek ma tylko takiego Boga, na jakiego zasługuje". Człowiek bojący się nieszczęścia sprowadza je. Zamiast objawienia religijnego jest szukanie: „Jedyną modlitwą godną człowieka—jedyną, która ma jakiekolwiek szanse na wysłuchanie, jest szukanie, namiętne studjowanie nieznanego" (str. 150).

„Wieczność jest czasem nieruchomym w przestrzeni". Śmierć jest przebudzeniem z nieświadomości. Po śmierci wejdziemy być może w światy dotąd niewidzialne, nieosiągalne dla zamkniętych w skorupie cielesnych odczuwań. Tymczasem—to, co nazywamy objektywizmem, nie istnieje dla nas. „Wszechświat, Czas, Wieczność, Przestrzeń, Nieskończoność, Bóg nigdy nie są, nigdy nie mogą być dla nas niczem innem, jak tylko tem, co o nich myślimy". Tak samo wszystkie aspekty świata widzialnego. „Wystarczyłoby, aby zaszła najmniejsza zmiana w naszem oku, w naszem uchu, w systemie nerwowym, w naszym mózgu, aby świat niu miał żadnego związku, żadnego podobieństwa do tego świata, który oglądamy". Wszystko tedy jest względne. Inaczej nasze życie i wysiłki przedstawiałyby się istocie o innych wymiarach, istnienie potężniejszemu, tytanowi, którym może za wieki człowiek się stanie. Maeterlinck jest skłonny do wiary w byt takich istot, jeszcze od czasu „*La vie de l'espace*". Byłyby czterowymiarowe i odpowiednio bogatsze w poznanie. Tedy nawet najściślejsze obliczenia np. biegu lat, prawa fizyczne, skonstatowane niezbicie, są niezdarnemi próbami zmierzenia niezmierzonej tajemnicy.

Czem są nazywane przez nas: świat, próżnia, przestrzeń, życie, śmierć, przeznaczenie? Nie wiemy. Tyleż jest niewiadomych, co znaków matematycznych, próbujących określać te sprawy w granicach trzech wymiarów. A może to różne nazwy dla jednej wielkiej całości, która się nam wielobocznie, wielostronnie objawia? Cóż pozostaje w konkluzji? Maeterlinck kończy równie zagadkowo, jak zaczął: „Tymczasem pozostaje tylko żyć w dalszym ciągu, aby zobaczyć, co życie w końcu da". Nie da nic innego, jak dało od początku czasów—(choć w początek stworzenia Maeterlinck nie wierzy) — bo wszystko istnieje wiecznie, od nieskończoności. Tylko my tego nie możemy jeszcze ująć. Tedy czas ma nam przynieść rozwój, a wtedy wszystko będzie nie przyszłością i przeszłością, nie czasem i przestrzenią lecz jednem. Wtedy odkryjemy inne, poza ludzkie światy istnień, życie na gwiazdach lub w czwartym wymiarze.

Filozofja przyrody, życie kwiatów i owadów, nauczyły Maeterlincka szacunku dla roślin i zwierząt. Kto wie, może one wiedzą więcej, inaczej od nas. Duchy umarłych i nienarodzonych żyją wśród nas. „Jesteśmy kierowani przez naszych niewidzialnych przyszłości, którzy wiedzą już wszystko, czego my jeszcze nie wiemy, i wyciągamy rękę ku niewidzialnym przeszłości, którzy wiedzą jeszcze to, czego my już nie wiemy". Czytelnik „*Le Sablier*" zatraca poczucie wymiarów. Jak u Heraklita, to co jest w górze, jest w dole i odwrotnie.

Ciekawe byłby ten filozoficzno - poetycki kierunek, jaki reprezentuje Maeterlinck, porównać z „*Art poétique*" Caudela. Claudel katolik, wierzący płomiennie i ortodoksyjnie, podaje czasem rękę magowi czarnemu, błądzącemu na własną odpowiedzialność, nieznającemu autorytetów; a przynajmniej czynią to ich myśli. Obaj dochodzą do tych samych wniosków: że wszystko jest w Bogu, że Bóg jest życiem wszechświata. Wszystko jest ruchem i z ruchu pochodzi. Tylko Maeterlinck nie wierzy, że „palec Boży" pchnął przed wiekami pierwszy wir mgławicowy, twierdzi, że światy istnieją wiecznie.

Cel tego ruchu — to dla obu powrót do kierunku, do stanu nicości—ale ta nicość dla Maeterlincka, to absurd myślowy, dla Claudela zaś—to roztopienie się ruchu wszechświata w jedynem nieruchomem, a przez to doskonałem istnieniu Bóstwa.

HELENA RADZIUKINAS

RODZINA I PAŃSTWO

WYGLĄDA na to, że państwo bolszewickie zwróciło się w kierunku prób odrodzenia instytucji rodziny; i mam tylko nadzieję, że państwo kapitalistyczne dozna natchnienia i weźmie się również do tego trudnego zadania. Bo w tym względzie można rzeczywiście powiedzieć żeśmy owczym pędem zeszli z właściwej drogi; i to naprawdę owczym pędem. Nic mnie tak nie uderza w tym nowoczesnym pędzie odwracania się od życia domowego jak to właśnie, że jest to tylko pęd, a nawet nie dążenie; że są to ludzie hołdujący raczej modzie, niż herezji; to znaczy, że każdy tam kieruje się nie swem indywidualnem przekonaniem, a tylko zbiorową psychozą. Owce nie idą nawet za złym pasterzem; idą poprostu jedna za drugą. Wiemy oczywiście, że było tam i pewne popisywanie się oryginalnością i wyzwanie rzucone przyjętej etyce u pewnej ograniczonej liczby owiec, które naprawdę lubią się popisywać. Ale mamy naprawdę bardzo mało prawdziwej złej woli jakiegoś wilka w owczej skórze. Właściwie była to raczej jakaś patetyczna

maskarada owiec w wilczej skórze. Oglądaliśmy ów typ małomiasteczkowego intelektualisty, który boi się stracić posadę, czy spóźnić się na pociąg, do biura, a występującego jako bohatera powieści i sztuk w przebraniu człowieka zdolnego zamordować żonę na znak protestu przeciw małżeństwu, albo matkę na znak protestu przeciw życiu. Oglądaliśmy sporo takich fałszywych wilków, które są czemś zupełnie innem od fałszywych owieczek. Ale ani jedno, ani drugie nie potrafiło naprawdę się zdobyć na odrzucenie jarzma zwykłej mody, czy przesądu. Ani jedno, ani drugie nie powróciło do normalnych zasad, ani nawet do normalnych problemów. Nikt nigdy nie wątpił, że małżeństwo jest problemem; od pierwszych znanych nam zabytków literatury i legend zawsze było traktowane jako dramat z problemem; tylko że dramat z problemem został potraktowany jako farsa. Sam fakt był tak powszedni, że nie można było potraktować go inaczej jak tylko jak farsę. Większość nowoczesnych autorów dramatów z problemem doszła tylko do traktowania farsy w taki sposób, że przestała być nawet zabawna. W tej skali, tylko w odniesieniu do problematycznej natury owego problemu, była dotąd może pewna ilość swobody, zarówno jak duża doza swawoli. Pewna ilość intelektualistów ukazała się nam może nie tyle w postaci wilków co baranów. Pewna ilość nawet wybitnych osobistości zachowywała się jak barany w stosunku do tego problemu. Ale prawie wszyscy zadowolili się rolą owiec jeśli chodzi o jego rozwiązanie; przedewszystkiem przez fakt, że nigdy wogóle nie zastanawiali się nad jego rozwiązaniem. Niech bardzo mały piesek zaszczeka na bardzo duże stado owiec, a owce będą wiedziały przed czem uciekają; ale nawet wtedy nie będą miały najmniejszego pojęcia dokąd pędzą.

DZIECKO ROUSSEAU'A

Bo ostatecznie we wszystkich prawie tych potocznych kontrowersjach trzeba stwierdzić, że nikt naprawdę nie rozważał drugiej alternatywy instytucji rodziny. Jedyną oczywistą alternatywą jest instytucja państwa. Nawet jeżeli przypuścimy, że najskrajniejsza szkoła anarchistyczna wzięłaby górę w jakimś uniwersalnym wirze rozprzężenia seksualnego, to rezultatem byłoby tylko rzucenie całego nowego pokolenia ludzkiego na łaskę tego jedynego czynnika, który mógłby być uznany za odpowiedzialny za nie. Dużo było taniego i właściwie niesłusznego szydzenia z biednego Rousseau'a, który podrzucił jedno ze swych dzieci na progu przytułku dla sierot. Trzeba mu oddać sprawiedliwość, że jeżeli wyparł się dziecka, to nie wyparł się owego wydarzenia. Wielu ludzi w owem mocno niemoralnem społeczeństwie mogłoby zrobić to samo; ale nikt inny by tego nie powiedział. To jedno co naprawdę zostało Rousseau'wi z chrześcijaństwa znajdujemy w samym tytule jego książki „*Confessions*". Bardzo to zdrowa rzecz dla człowieka gdy mowa o jakiejś zbrodni, aby siebie zapytał nietylko czy miałby odwagę ją popełnić, ale także czy miałby odwagę ją wyznać gdyby ją popełnił. Ale choć z Rousseau'a uczyniono potwora słabości moralnej i występku, byłoby dość słuszne gdybyśmy powiedzieli, że w pewnym sensie wyznaczył on swym czynem początek naszej śliskiej i sentymentalnej moralności. Nie zrobił nic takiego znów złego jak mówią jego najgorsi przeciwnicy; ale uczynił jedną rzecz naprawdę niewybaczalną; ustanowił nowoczesny system moralny — czy też brak systemu. Przez ten jeden czyn zrzucenia swego dziecka na łaskę instytucji stał się współwinnym swej potomności; skojarzył się z całym biegiem postępu i posunięciami ludzi o wiele mniej ludzkich od niego samego. Stał się prekursorem strasznej kary za zwykłą emancypację płci, która nie polega na anarchji, lecz na biurokracji.

PRZYTUŁEK, CZY RODZINA?

Jeżeli bowiem damy państwu jakąkolwiek swobodę tego rodzaju, staje się ono jednym wielkim przytułkiem dla sierot. Jeżeli rodzice nie będą odpowiedzialni za własne dzieci, wówczas urzędnicy staną się odpowiedzialni za cudze dzieci. Troska o wszystkie te rzeczy przejdzie w ich ręce; nie znajdzie się bowiem nikt inny ktoby zauważył taką drobnostkę jak przyjście na świat duszy żyjącej. Całkowita władza nad życiem ludzkiem przejdzie w ręce państwa; a będzie to państwo bardzo totalne. Wiem, że niektórzy utrzymują jakoby płatni urzędnicy mogli być bardziej oddani niż rodzice; bardzo trudno jednak się domyśleć na czem mogłoby się to opierać — chyba, że na owej zapłacie. Ale z drugiej strony jest cały świat, a raczej szczególnie cały współczesny świat na dowód, że ci, którzy są dobrze płatni, mogą być fatalnie znudzeni. Kto zaś sobie nie wyobraża, żeby można było się znudzić dzieckiem, niewiele wie o dzieciach. Powracamy tu zawsze do niezbitego argumentu dostarczanego stale przez naturę: że zdarza się tu i owdzie jedna, czy dwie osoby, które są mniej znudzone specjalnie jednem bardzo nudnem dzieckiem, niż ktokolwiek inny mógłby niem być znudzony.

Ten punkt widzenia zdrowego rozsądku jest konkretną podstawą, na której opiera się rodzina; i żadna reakcja przeciw temu nie potrafi tego zjawiska pozytywnie zastąpić. Ci, którzy sobie niejasno wyobrażają, że pedagodzy mogliby kolejno zajmować się dzieckiem, zależnie od specjalności, lub, że eksperci mogliby je podzielić między siebie, to poprostu ludzie, którym się zdaje, że mogłoby być dwudziestu urzędników na jednego obywatela. Dziecka nie można podzielić dla jakiejkolwiek ogólnej satysfakcji społecznej, jak już to kiedyś odkrył król Salomon; zaś osobą, która najmniej pragnie widzieć je podzielone, pozostanie zawsze osoba, która najprawdopodobniej weźmie je takiem jakiem jest, jako całość i poświęcić mu cały swój czas.

PRÓBA ŻYCIA

Dlatego też publicznie hołd składam wielkiemu przykładowi Stalina, który wydobył nagle swą matkę z jakiejś nieznanej szufladki systemu komunistycznego i postawił ją jako nowy rodzaj świętej ikony, aby natchnęła naród rosyjski. Dlatego notuję z głębokiem zainteresowaniem nową nutę w jego poleceniu dla społeczeństwa sowieckiego, że powinno ono wzmocnić nanowo instytucję rodziny. Czemuż ów zdolny i niewątpliwie cyniczny Gruzin pozwolił sobie na tak ważną zmianę zdania, czy nawet wyrzeczenie się błędów? Przypuszczam, iż zrobił to dlatego, że on i jego stado owiec doszło do końca drogi na której na-

sze błądzące i bardziej wizjonerskie owce ciągle jeszcze potykając się kroczą. Nie pierwszy to raz komuniści nauczyli się zdrowego rozsądku kosztem komunizmu. Zaczęli od mówienia, że nie powinno być wojen; albo jeżeli już mają być, to muszą być prowadzone na sposób parlamentarny, pod wodzą oficerów niemożliwych do odróżnienia od żołnierzy. Skończyli na stworzeniu wielkiej armji czerwonej do walki z białą armją, a potem przywrócili hierarchję i rangi wojskowe w tej armji. Zaczęli od twierdzenia, że własność prywatna powinna być zniesiona i ograbili setki tysięcy chłopów, czyniąc z nich niewolników, zanim się nauczyli, że chłopi muszą zachować własność prywatną. I tak po długich i ekstrawaganckich eksperymentach odkryli prawdę, że rodzina jest rzeczą realną; i że napewno nie zdoła jej zastąpić nic w rozległej i niejasnej abstrakcji państwa. Wszystko to jest dużą zasługą bolszewików, choć może niezupełną zasługą bolszewizmu. Oni przynajmniej zachowali jedną zasadniczą cechę prawdziwego życia. W każdym razie bowiem uczą się z własnych błędów. Dużobym dał za pewność, że nasza „przemysłowa cywilizacja" jest zdolna do tego samego.

GILBERT KEITH CHESTERTON

Przełożył A. M.

The Illustrated London News
Nr. 5046 z 1.I.1936 r.

NAUKA PRZYPUSZCZA,—NAUKA SIĘ MYLI

(JESZCZE O SATYRACH Z „NOCY LISTOPADOWEJ")

I.

W NR. 11 „Myśli Narodowej" zamieściłem artykuł p. t. „Ludzie czy bogowie", w którym spróbowałem obalić twierdzenie p. Wacława Borowego, odmawiające kategorycznie słuszności tym krytykom, którzy Satyrów ze sceny „teatralnej" w „Nocy listopadowej" Wyspiańskiego uważają nie za ludzi-baletników, lecz za bóstwa. Twierdzenie to zawarte jest w przypisku do rozprawy p. t. „Łazienki a Noc listopadowa" przedrukowanej w książce p. t. „Dziś i wczoraj".

W nr. 19 „Pionu" p. Wacław Borowy zaszczycił mnie obszerną odpowiedzią p. t. „Ki djabli — Satyry z Nocy listopadowej". W odpowiedzi tej przyznaje, że stanowisko owych krytyków nie jest absolutnie niesłuszne, że posiadają oni „pewną rację".

Ale cofnąwszy się jedną nogą z zajmowanej uprzednio pozycji, p. Borowy nie wyrzeka się bynajmniej swego — że tak powiem — bezbożnego na Satyrów poglądu, ponieważ — jak pisze — „nigdzie w utworze bogowie nie występują *coram publico* w ten sposób, aby byli widoczni dla tłumu, tak jak Satyry widoczne są dla całej publiczności zebranej w teatrzyku".

Ta różnica jest dla p. Borowego „dobrą racją, żeby Satyrów uważać za aktorów z odbywającego się przedstawienia, tak samo jak Fausta, Małgorzatę i Mefista (o którym nawet wiemy, że jest nim aktor Kudlicz)."

Mnie racja owa wydaje się niewystarczająca. Wystarczałaby wówczas, gdyby bóstwa helleńskie nie miały prawa obcować z tłumem. Ale gdzie jest zapisane prawo, że bóg może się pojawić jednej, lub conajwyżej kilku osobom, kilkuset zaś osobom pokazać się nie może. U klasyków greckich (np. u Ajschylosa w „Eumenidach", żeby wymienić utwór teatralny, bogowie objawiają się ludowi „tłumowi obywateli"). Z faktu, że u Wyspiańskiego Olimpijczycy mniej się pospolitują, niż podrzędne półbogi z i e m s k i e (uznawane przez popularną tradycję chrześcijańską za djabły) nie wynika nic, coby mogło świadczyć przeciwko boskości Satyrów. Widzialność bóstw zwykle bywa wprawdzie ograniczona, ale tylko ich wolą, nie zaś brakiem możności objawiania się komu chcą. Sam p. Borowy zresztą stwierdza, że widzialność bóstw bywa w „Nocy listopadowej" w jednych scenach mniej, w innych więcej ograniczona, że rozmaite są w utworze Wyspiańskiego stopnie owej widzialności. Otóż muszę Szanownemu memu polemiście zwrócić uwagę, że Satyry aczkolwiek pojawiają się całej publiczności, są u t a j o n e p o d p o s t a c i ą baletników, a zatem nie wyłamują się całkowicie z pod reguły widzialności ograniczonej. Widzialność ich pozostaje ograniczona o tyle, że boskość ich jest dostrzegalna tylko dla wybrańców: mianowicie dla Słowackiego i (nie chwaląc się) dla tych czytelników „Nocy listopadowej", którzy posiadają na kwestję boskości kozłoludów poglądy przeciwne poglądom uczonego badacza *ejdetyzmu*[1]). Dla *profanum vulgus*, dla galerji, dla ograniczonego aktora reżysera—boskość Satyrów pozostaje niedostrzegalna.

P. Borowy powiada dalej, że jego rozumienie utwierdza sam Wyspiański skoro pisze wyraźnie w pierwszej zaraz wskazówce scenicznej, że są to „Satyry z nastąpić mającego baletu". (NB. p. Borowy czyta tekst Wyspiańskiego niedokładnie.)

W artykule moim p. t. „Ludzie czy bogowie" zwracałem już uwagę czytelników na to, że wyrażenie Wyspiańskiego: „Satyry z mającego się odegrać baletu" może wprawdzie, ale niekoniecznie musi oznaczać ludzi-baletników. Może oznaczać również co innego. Naprzykład satyrów-bogów, którzy są równocześnie baletnikami, albo też ucieleśnione duchy baletowych ról, postacie z baletu, w podobnem znaczeniu w jakiem mówimy: postać z tragedji, postać z dramatu, postać z komedji, postać z opery.

Szło mi przytem jedynie o stwierdzenie, iż rzekomo „wyraźna" informacja Wyspiańskiego nie jest wcale wyraźna, skoro daje się interpretować rozmaicie.

P. Borowy upiera się przy jej wyraźności. Pisze: „Wywody p. Godlewskiego o „ucieleśnio-

[1]) Zastrzegam się najkategoryczniej, że terminu „badacz ejdetyzmu" nie używam tu w takiem znaczeniu, w jakiem według p. Borowego analfabeci używali dawniej wyrazu „sufragan", a niektórzy publicyści używają dziś wyrazu „profesor". W artykule moim p. t. „Ludzie czy bogowie" nazwałem p. Borowego „Szanownym panem profesorem", ponieważ byłem najmocniej przekonany, że zajmuje katedrę uniwersytecką na którą oddawna zasłużył.

nych duchach baletowych" nie mają żadnych podstaw, skoro cała reszta boskiego personelu skądinąd się wywodzi".

Otóż właśnie rzecz w tem, że wszystkie postacie mitologiczne, występujące w „Nocy listopadowej", wywodzą się ze wspólnego źródła: z religijnych legend greckich. Nie przeszkadza to jednak jednej z Nik wywodzić się także z epopei napoleońskiej i z rzeźby Fidjasza. Innemi słowy być równocześnie postacią z epopei (wyrazu tego używam w szerszem znaczeniu) i postacią z posągu:

Znacie tę Nikę Fidjaszową,
jak sandał wiąże szybka.
— — — — — — —
Otóż to ona się odzywa
jako
NIKE NAPOLEONIDÓW.

Czemużby Satyry nie mogły analogicznie wywodzić się zarazem z podań greckich, z posągów łazienkowskich i z wodewilowego baletu, będącego *notabene* (Ki djabli?) choreograficzną przeróbką fragmentu drugiej części goetheańskiego „Fausta"?

Powyższa zatem uwaga krytyczna p. Borowego równa jest wartością takiej: „Nike Napoleonidów za bóstwo i za postać z posągu uznać niepodobna, skoro cała reszta boskiego personelu z innych dzieł sztuki się wywodzi."

II

P. Borowy zarzuca mi następnie niedokładność argumentacji. Twierdzi, że przeoczyłem, rzekomo lepszy od wszystkich przytoczonych przezemnie argument, popierający tezę boskości Satyrów.

„Nike Napoleonidów traktuje ich akcję jako godną swojej bezpośredniej interwencji: gromi ich za to, że są „na teatrze" w chwili, kiedy naród „porwał za broń zwycięską", a po tem ich „wypędza", „wydziera im liry i tłucze", oni zaś z poufałością istot z tej samej sfery wołają: „uciekajmy, bo wróżkę szał bierze". Słowa te—pisze pan Borowy—w każdym razie nie bardzo przystoją aktorom z baletu, choćby i spiskowcom, sięgającym myślą do wyżyn historjozofji."

Argumentu owego oczywiście nie przeoczyłem. Nie zamieściłem go poprostu dla tego, że nie chciałem rozwlekać i tak przydługiego artykułu. Nie zamieściłem również z tego samego powodu paru innych argumentów, ale czyż miałem obowiązek przytaczać wszystkie?

Zarzut ten to wybieg erystyczny, kruczek używany często przez adwokatów przypartych do muru, — jak to mówią — zapędzonych w kozi róg. Łacinnik wyraziłby się *qui causam perdunt*. Dalszy ciąg owego kruczka polega na tem, że po wynalezieniu jakiegokolwiek argumentu (nie użytego przez przeciwnika) przeciwko samemu sobie i po ogłoszeniu go za jedynie skuteczny, atakuje się argumenty nie zasadnicze, lecz dodatkowe, na których przeciwnikowi najmniej zależy.

Zgodnie z zaleceniami erystyki p. Borowy stwierdza tedy na podstawie, broń Boże nie mojego, lecz wynalezionego przez samego siebie argumentu, że ma „pewną rację" także teza broniona przezemnie.

„Początkowe wskazówki scenarjusza"—pisze—„nie dają się, przyznać trzeba, łatwo pogodzić z temi kwestjami".

Na zdanie to odpowiadam: Czy naprawdę trudno uznać wyrażenie „Satyry z mającego się odegrać baletu" za wyrażenie wieloznaczne? Jeśli się nie uprzemy przy jego jednoznaczności, pogodzimy je „z temi kwestjami" bez najmniejszego trudu.

P. Borowy wyraża ostrożnie przypuszczenie, że „może poeta istotnie pisząc tę scenę, zmienił nieco swoje poglądy *de natura deorum*".

Pytam: Na czem oparte jest to przypuszczenie? Na wieloznaczniku? Gdzież bowiem — do krocset satyrów! — poza owym wieloznacznikiem bodaj cień poszlaki, że Wyspiański pogląd na boskość kozłoludów zmieniał?

P. Borowy pisze dalej: „A może raczej rzecz należy tłumaczyć psychologicznie: w ten sposób, że został tu ślad jakiejś wcześniejszej koncepcji, przez niedopatrzenie nieuzgodniony z resztą dzieła. Czy pójdziemy za tem, czy za owem przypuszczeniem wynik będzie ten sam: że jest tu jakaś wewnętrzna niespójność".

Jeżeli jednak uznamy wyrażenie „Satyry z mającego odegrać się baletu" za wieloznaczne, to odrazu owa „niespójność" przestanie być oczywista. Dla swojej racji nie merytorycznej, lecz konwersacyjnej p. Borowy wynajduje dziury na całem i nie waha się oszpecać dzieła Wyspiańskiego jakąś nietyle urojoną ile wymyśloną niespójnością. Obwinia Wyspiańskiego o niedopatrzenie. Boskość Satyrów nazywa „śladem" wcześniejszej koncepcji. Hypotezy swojej jednak nie potrafiłby poprzeć żadnym innym argumentem, oprócz nieszczęsnego wieloznacznika.

Twierdzi, że można „albo iść za tem, co poeta powiedział w scenarjuszu, albo za tem co zdaje się wynikać z interpretacji djalogu".

Nie zdoła jednak ani rusz udowodnić, że poeta powiedział w scenarjuszu: Satyry to przebrani ludzie.

„Ja wolę pierwszą drogę"—powiada. Woli podzielać poglądy wykpionego przez Satyrów okrutnie Aktora-reżysera. *De gustibus non est disputandum*.

Przyznawszy mi połowiczną rację p. Borowy po adwokacku atakuje moje argumenty dodatkowe.

„Baletnicy"—pisze—„usłyszymy od p. Godlewskiego—nie ustawiają kulis; robią to maszyniści, zwłaszcza w stołecznym teatrze... Hm, nie wiem czy teatrzyk Rozmaitości w r. 1830 był tak wybitnie „stołeczny" w sensie wyposażenia w personel pomocniczy i czy Wyspiański takim go sobie przedstawiał. Z obrazu, który widzimy w sztuce, mamy raczej wrażenie czegoś dosyć ubogiego".

Odpowiem na to: W każdym razie jest to teatr bardzo przyzwoity, w którym bywa publiczność wyborowa (Chłopicki, Słowacki). Do byle bałaganu W. Ks. Konstanty nie pozwoliłby chodzić oficerom w mundurach. (Chłopicki jest po cywilnemu tylko dla tego, że wziął dymisję). Teatrzyk posiada zapadnię, wystawia sztukę wymagającą wielu dekoracyj, kostjumów i licznej obsady, chórów, baletu. Reżyser wspomina o „chłopie co przy korbie stał", którego zeskamotowały Satyry, co p. Borowy przemilcza.

Pan Borowy pisze:

„Dalej słyszymy, że szybkość z jaką Satyry zdobywają rekwizyty do swego interludjum, jest dziwna, wprost „niesamowicie” (n. b. rekwizytami temi są: 1) frak t. j. strój, który w r. 1830 wszyscy nosili tak jak my dziś marynarkę, 2) szarfa, którą choćby w kieszeni rzeczonego fraka łatwo było schować)“.

Odkrycie p. Borowego, że w r. 1830 wszyscy chodzili w generalskich uniformach (boć o takim fraku tu przecie mowa, wzbudzi niewątpliwie sensację wśród kostjumologów.

III

Podawszy w wątpliwość podobnemi sposobami dziwność przytoczonych przezemnie faktów, że Satyry są fenomenalnie inteligentne i dowcipne jak na baletników, oraz że przed przebraniem się w mundur generalski jeden z owych rzekomych baletników nie rozdziewa się z kostjumu koźlonoga, p. Borowy przystępuje do zaatakowania argumentu, który nazywa ironicznie „Grubą Bertą p. Godlewskiego”.

Argument ów (zaczerpnięty z odmian tekstu „Nocy listopadowej”) brzmi:

„Satyr wiedzący w listopadzie 1830 r., że Słowacki wdrapie się (w imaginacji) na szczyt Montblanc'u, satyr znający już wyrażenia z nienapisanego jeszcze „Kordjana”, a raczej inspirujący właśnie ów dramat Słowackiemu, satyr kuszący poetę iście po szatańsku, nadzieją korony Króla ducha nie jest stanowczo człowiekiem”. „Satyr ten jest niewątpliwie istotą nadnaturalną”.

P. Borowy powiada:

„Mnie przecież chodziło o utwór w jego ukształtowaniu się ostatecznem, w którem został oddany przez poetę czytelnikom, a nie o wcześniejsze szkice...”

Przepraszam najmocniej, ale to wybieg. P. Borowy studjum swoje poświęcił właśnie dociekaniom o charakterze genetycznym.

Pisze on dalej:

„Kiedy się przegląda obfite odmiany tekstu sceny teatralnej, w obudwu rękopisach, widać że poeta miał początkowo jakąś inną koncepcję Satyrów: byli oni wyposażeni w nadnaturalne jasnowidztwo i proroczą wiedzę o przyszłości; skłonny jestem przypuszczać, że ślad tej koncepcji został w kilku miejscach tekstu, tych właśnie, które robią Satyrów zagadkowemi, zasadniczo jednak koncepcja ta została usunięta — na rzecz tej, której wyrazem są objaśnienia sceniczne, a więc przedewszystkiem słowa: „Satyry z mającego się odegrać baletu”.

P. Borowy na szczęście nie twierdzi tego, tylko ostrożnie „przypuszcza”. Hypoteza ta jednak wydaje mi się nader wątlusieńka. Na poparcie jej p. Borowy przytacza jeden jedyny, mocno już sfatygowany argumencik: wieloznaczne początkowe objaśnienie scenarjuszowe. Jedno jedyne objaśnienie, nie zaś tam żadne, jak się p. Borowy wyraża „objaśnienia”.

Gdzież, powtarzam, poza tym wieloznacznikiem bodaj cień cienia poszlaki, że Wyspiański koncepcję pierwotną przeinaczył w tym sensie, że wyzuł Satyrów z boskości? Policzmyż „ślady” owej „koncepcji pierwotnej”. Każde pole widzenia od nich się roi.

P. Borowy kontynuuje:

„Rozczytanie się zresztą w warjantach autografów podkopuje wartość głównego argumentu p. Godlewskiego nawet w odniesieniu do pierwszych redakcyj utworu. Oto scena V zaczyna się w obydwu rękopisach od pieśni:

„Pijcie wino, pijcie wino:
nie wierzycie, że to cud,
gdy strumienie wina płyną,
choć nie sadzi winnic lud“.

„Cóż to jest”—zapytuje p. Borowy.—„Nic innego jak początek śpiewu Nieznajomego z III aktu „Kordjana”. Sprobujmyż teraz rozumować jak p. Godlewski: śpiewak, znający już w listopadzie 1830 r. wyrażenia (ba, całe zwrotki) z nieznanego jeszcze „Kordjana” nie może („stanowczo”!) być człowiekiem: jest („niewątpliwie“!) istotą nadnaturalną. A któżto śpiewa tę piosenkę? Tu się Wysoki Sąd uśmieje: śpiewa ją aktor Kudlicz. Czyż powiemy wobec tego, że Kudlicz jest bogiem, podobnie jak Demeter, Kora, Pallas it.p.? Dajmy spokój”.

Próba rozumowania „jak p. Godlewski” powiodła się p. Borowemu niezbyt olśniewająco. Kudlicz śpiewa pieśń djabelską. Panu Borowemu powinno to być wiadome, skoro wie o tem każdy laik, bodaj z teatru, wszyscy bowiem niemal inscenizatorowie (oprócz jedynego zdaje się p. Schillera) powierzali rolę Nieznajomego w „Kordjanie“ temu samemu aktorowi, który grywał rolę Doktora. Pieśń ową Kudlicz śpiewa oczywiście pod sugestją Satyrów, podobnie jak kuplety francuskie. Aktor ów jest najwyraźniej przez Satyrów urzeczony. Oto dowód:

KUDLICZ i SATYRY (*śpiewają*)
„Polonais, point des rêveries“.
SATYRY
„Vive la loi, l'effronterie;
c'est Dieu, qui vous donne la raison:
Polonais, point des rêveries“.
PUBLICZNOŚĆ (*zaniepokojona*)
SATYRY (*kłaniają się ze sceny*)
3 SATYR (*z budki suflera*)
(*podpowiada Kudliczowi*)
Przyzwyczaić się można z czasem do niewoli.
KUDLICZ
(*powtarza bezwiednie za Satyrem-suflerem*).
Przyzwyczaić się można do rany, co boli;
tańcować
3 SATYR
Gdy Car każe...
KUDLICZ
Śmiać się, gdy pozwoli.
PUBLICZNOŚĆ (*powstaje z miejsc*).
Co to jest?—Co on gada? To nie z jego roli!

W tem że Satyry, które Słowackiemu zainspirowały „Kordjana“, inspirują Pieśń Nieznajomego, wyjątek (najbardziej djabelski) z tego poematu Kudliczowi nie podobna się dopatrzeć żadnego nonsensu. Kudlicz „Kordjana“ nie zna, ale Satyry znają, bo posiadają boski przymiot widzenia przyszłości. Z powyższych przesłanek „p. Godlewski” nigdyby nie wyciągał wniosku, że Kudlicz to bóstwo. A. p. Borowy?

IV

Odpowiedź p. Borowego jest dla mnie tem zaszczytniejsza, że sławny uczony zdaje się uważać mnie za analfabetę, skoro uznał za stosowne opatrzyć ją podtytulikiem: „Kilka uwag z zakresu sztuki czytania”. Prawdziwy szacunek, jaki żywię dla mojego polemisty, nie pozwala mi niniejszego artykułu zatytułować „uwagami z zakresu sztuki myślenia“.

STEFAN GODLEWSKI

NORWIDJANA IV

LISTÓW C. NORWIDA

GARŚĆ TRZECIA

Podał STANISŁAW PIGOŃ

18. Odezwa.

1869, marca.

Następującej treści mowy, rozmowy i autografy miały miejsce w Emigracji polskiej. Załącza się kopja, aby (dla niezupełnej możności druku, którego niema, dziennika, który nie istnieje, kopisty, który byłby za kosztownym), aby — mówię — ślad został, iż te rzeczy miejsce miały.

Kopja niniejsza brzmi:

Obywatele! Ojcowie Spisani! Panowie Wielmożni!

Pod żadnym skryptem, manifestem, odezwą nigdy — przez lat kilkadziesiąt wygnania mojego nigdy — podpisu mojego nazwiska nikt nie widział. Nigdzie się nie podpisywałem, ani żadnej pensji i żadnego żołdu nigdy nie brałem, dlatego, iż (oprócz dzieł moich w literaturze, sztuce, albo w życiu uznanych lub spółcześnie niemożliwych do uznania i nie uznanych) żadnej innej ważności nie mając, naturalnie iż nie podpisywałem się, uważałbym to sobie za efronterję.

Jeżeli zaś jaka opinja lub jaka władza, choćby najwyższa na świecie, raczyła mię uznać i wzmiankować, to mimo starań moich...

Po takowym wstępie mam zaszczyt Panom załączyć, co następuje:

Obywatele! Ojcowie Spisani! Wielmożni Panowie! etc., etc.

Społeczność Emigracji polskiej jest bliską zupełnego zdemoralizowania politycznego; sens pospolitej rzeczy ginie.

Powodem do tego jest zupełna, dzika nieświadomość władzy prawowitej i jej barbarzyńskie nieuznanie.

Książę Jegomość Wł. Czartoryski, hrabia Ksawery Branicki, doktór Gałęzowski, Ojcowie Zmartwychwstańcy (o ile obywatele), Wielmożny Towiański, Wielmożni Konspiratorowie warszawscy, dyktator Marjan Langiewicz, generał Ludwik Mierosławski, W-ny Karol Ruprecht, Wielmożni Januszkiewicze, Ordęgi etc., etc., etc.

Wszystko to razem — są rozmaite powagi osobiste, ale jako prawowita władza są nic, zero! Wszystko to są albo upełnomocnione czynniki, albo samozwańcy, samodzierżcy i gwałciciele.

Jeden[1]) człowiek może mieć pieniądze, drugi efronterję, trzeci rzemienne nerwy i mieszczańskie grubijaństwo, — ale to nie władza, to = zero, 0.

Chciejcie przeto WW-ni Panowie łaskawie uwagę waszą zwrócić na to, iż przez sto lat naturalnie, że powielekroć pokolenia się odnawiają i że, odnawiając się, muszą mieć możność nabywania elementarnych pojęć uszanowania władzy prawowitej.

Pomnik w Szwajcarji z kamienia postawiony nie starczy ku temu. (Orzeł, co sto lat macha skrzydłami na jednem miejscu, to prawie że kaczka. Kaczka, nie orzeł).

Władza prawowita (według tego, jak tysiące lat dziejów uczą) są w Emigracji:

(1) Wielmożny Karwowski.—Wielmożny Amadeusz Żarczyński. — Wielmożny Kołysko. — Wielmożny Jełowicki. — Wielmożny Bohdan Zaleski — etc., etc., etc. — (frakcja Sejmu wolnemi głosami obywateli wybrana).

(2) Wielmożny Wład. Bentkowski. — Wielmożny August Cieszkowski — etc., etc., etc. — (frakcja posłów polskich, lubo w częściowym pruskim parlamencie, ale którzy sobie za zbrodnię stanu nie poczytują uważać się za trzymających pieczęcie całopolskiego mandatu).

(3) Wielmożny Roga[w]ski — etc., etc., etc. — (frakcja posłów polskich w parlamencie Cesarstwa Apostolskiego, ale którzy nie uważają sobie za zbrodnię stanu mniemać się całopolskimi mandatarjuszami i dowodzą tego w historycznych chwilach i wysokościach).

Słowem: trzy frakcje parlamentarne, wolnemi i jawnemi głosy wybrane: 1. Sejm Polski (w Emigracji), 2. Parlament polski (pruski), 3. Parlament polski (Apostolskiego Cesarstwa).

Ale... jeżeli kto obywateli trzymających pieczęcie władzy prawowitej ominie, usunie, podda wytartej prywacie, — ubóstwem zaniemówi, w domach przytułku zamknie, na żebractwo skaże, — powagą i purpurą chorągwi narodowej nie otoczy, nowymi mandatarjuszami (gdyby tego była konieczność) nie unastępni, — jeżeli (mówię) wszelkie racje historycznego ciągu władzy prawowitej przeda kto za pieniądze pieniężnym, za umizgi popularnym, za ukłony możnym, — ten niech nie sarka na samodzierżców — czy to tronów, czy spisków — i niech nie gada o historji i o Duchu Świętym, w którego udział w Sejmach wierzyli ojcowie i antenatowie nasi, — nasi lub moi.

Cyprjan Kamil Norwid

Pisałem 1869

Uwaga wydawcy: Autograf w Bibl. Jagiel., wśród korespondencji J. B. Zaleskiego. — Nieznany jest bliższy powód wystąpienia poety z tą odezwą. Podobny nieco pomysł związania emigracji z krajem przez zbiorową władzę reprezentacyjną powróci w odezwie Norwida z r. 1877 (zob. M. N. 1935, nr. 24).

[1]) Cały ustęp dopisany ołówkiem na marginesie.

NA WIDOWNI

Uczczenie pamięci Bolesława Prusa. — Głośny frazes i pełne treści sciszenie. — Liryka i epopea. — Postawa uczuciowa historyka. — Nowe wydanie „Godów życia“ Dygasińskiego.

W KOŚCIELE Św. Krzyża, gdzie niegdyś Wokulski chodził spotykać kwestującą w Wielki Piątek pannę Łęcką, odsłonięto, dnia 19 b. m., tablicę ku czci Bolesława Prusa. Od chwili śmierci Aleksandra Głowackiego mija właśnie lat dwadzieścia cztery, i jest w tej skwapliwości, nie czekającej z hołdem do „jubileuszowej” daty ćwierćwiecza, jakaś wzruszająca serdeczność, jakby stwierdzenie, że cześć dla twórcy „Placówki” i „Lalki” nie jest u nas, dzisiejszych, czemś oficjalnie tylko odświętnem, ale przejawem uczuć bezpośrednich i żywych, nie chłodnącego przez wzrastający przedział lat ciepła bliskości. Nieodparcie powracają na pamięć słowa: *Non omnis moriar...*

Nie ośmielam się — w przygodnym fejletonie — analizować zagadnienia, czem jest i czem powinien być Prus dla generacji współczesnej, ograniczę się do paru zaledwie spostrzeżeń, jakie mi obcowanie z dziełem jego nasunęło. Jesteśmy pokoleniem przemęczonem nadmiarem dostojnych słów, uroczystego patosu. Nie ma mówki okolicznościowej, dziennikarskiego artykuliku, gdzieby nie częstowano nas powtarzaniem wyrazów najświętszych, najgórniejszych, pospolitowanych na najbardziej bylejaki użytek. Jakże nużąco, pusto dźwięczą w uszach naszych ustawicznie słyszane frazesy o „mocarstwowej potędze”, o „wielkości Narodu i Państwa”, „gotowości do bezgranicznych poświęceń...” I czujemy, że po tej orgji, tem nadużyciu „wielkich słów”, które tak stępiło naszą wrażliwość, konieczna jest jakaś asceza, że właśnie nasze wzruszenia najświętsze, najwnętrzniejsze muszą w wyrazie swym mieć jakieś pozytywistyczne, p r u s o w s k i e opanowanie, jakieś sciszenie, jak w „pamiętniku starego subjekta” w „Lalce”, gdzie taki bezmiar treści uczuciowej zawarty jest w zwyczajnym zwrocie: „pamiętasz, Katz, niezapomniany przyjacielu?...”

Boć przecież to uczucie właśnie, siła jego napięcia stawia „Lalkę” w jednym rzędzie z „Panem Tadeuszem”, czyni z niej epopeję. Popularne panuje mniemanie, że głosem serca, wyrazem uczuć pisarza jest zawsze liryka, podczas gdy epos to tylko chłodne, bo beznamiętne przedstawienie rzeczywistości objektywnej. Jak wiele innych utartych poglądów, przekonanie to jest z gruntu fałszywe. Właśnie liryka wymaga od twórcy mniejszego wydatku uczucia, mniejszej miłości do ludzi (wystarcza niejednokrotnie miłość własna, zaś o tę nie trudno): czy nie z tego przypadkiem powodu współczesna poezja u nas tak jednostronnie rozwinęła się w kierunku lirycznym? Artysta może np. odczuwać niechęć ku bliźnim, mogą go oni drażnić, zakłócać ciszę jego spokoju, — i te nastroje może uzewnętrznić w lirykach pełnych prawdy i siły. Ale niechże z takim kapitałem uczuciowym, z takiem tworzywem przystąpi do napisania epopei!

Znany, tylokrotnie przytaczany aforyzm bodaj więcej treści, więcej prawdy zawarłby ułożony w porządku odwrotnym: *tout pardonner, c'est tout comprendre*. Im gorętsza miłość do człowieka, przezwyciężająca egoizm własny, uprzedzenia, doktryny, tem lepsza rękojmia zrozumienia prawdziwych jego intencyj, objektywnej, bo nie stronniczej ich oceny. W tem pojmowaniu, epicka postawa duchowa ma już w istocie swej jakgdyby daleki odblask boskości. Czyż nie sam Stwórca dopiero, który jest nieskończonością Miłosierdzia, jest jedynym też Sędzią świata i ludzi, naprawdę, c a ł k o w i c i e s p r a w i e d l i w y m?

Dlatego dwa arcydzieła literatury naszej, najbardziej przesycone miłością, najbardziej nabrzmiałe uczuciem — to właśnie owe dwie epopeje: „Lalka” i „Pan Tadeusz”. Nawet w powieściach historycznych Sienkiewicza jest mniej epickiego pierwiastka, bo mniej serca, mniej — niekiedy — wyrozumienia istotnego sensu ludzkich działań. Nawet nieśmiertelny twórca Trylogji w ocenianiu niektórych zjawisk dziejowych i postaci bywa, chwilami, pod wpływami pewnej szkoły historycznej, jej doktryny, jej antypatyj.

Kto wie zaś, czy nie owa niedostateczna miłość, niedość serdeczne przywiązanie do całokształtu przeszłości narodu, nie jest przyczyną większości błędów naszej historjografji, jej — dalekich od objektywizmu — jednostronności i płycizn. Stąd przecież rodzą się i różne lekkomyślne potępiania, i panegiryzm wobec niektórych jednostek historycznych, gdy brak miłości nie pozwala zrozumieć słusznych racyj i motywów działania ich antagonistów. A gdy sympatja, związek uczuciowy z pokoleniami dawnemi jest warunkiem zrozumienia ich historji, jak nieporadnie musi wyglądać społeczeństwo, które badania nad swą przeszłością wypuszcza w arendę obcym, z natury rzeczy skazanym na błąkanie się w labiryncie dokumentów, bez jedynej tu — z piersi jak u jedwabnika snutej — nitki Arjadny?

*

Niezwykła to wogóle była generacja owych pisarzy z doby po powstaniu styczniowem, napozór chłodnych, wychowanych w szkole pozytywizmu, a przecież jakże pełnych żarliwości wewnętrznej, która i dzisiaj jeszcze ogrzewa nas i oświeca. Właśnie przeczytałem powtórnie „Gody życia” Adolfa Dygasińskiego, wydane po raz piąty przed kilkoma tygodniami, w opracowaniu zięcia autora, p. Władysława Wolerta. Skromne było owe *credo*, które przyrodnik-Dygasiński mógłby był uznać za sformułowanie zasad swojej religji, z całej obszernej nauki chrześcijańskiej pozostałyby w niem tylko pierwsze słowa: „Wierzę w Boga, Stworzyciela nieba i ziemi...” A jednak ten jedyny motyw z *credo* dźwięczy w dziele jego taką siłą, taką pełnią i bogactwem brzmienia, taką rozmaitością warjacyj — że my, przechwalający się, iż jesteśmy pokoleniem „odrodzenia się poczucia religijnego”, nie wiem, czy potrafilibyśmy tak kornie, tak modlitewnie złożyć hołd Stworzycielowi Świata przez miłość i uwielbienie dla Jego dzieła.

Nie zrywajmyż więc zbyt pochopnie kontaktu psychicznego z tą osobliwą epoką — pozytywistów-romantyków i pełnych ducha chrześcijańskiego bezwyznaniowców...

JAN REMBIELIŃSKI

GŁOSY

HISTORYCZNY DZIEŃ. W dniu 24 bieżącego miesiąca i roku przybywa na Jasną Górę około piętnastu tysięcy polskiej młodzieży akademickiej. Z całej Polski, ze wszystkich bez wyjątku ośrodków uniwersyteckich. Przybywa, by obrać Najświętszą Marję Panną za Swoją Patronkę i złożyć Jej uroczyste ślubowanie. Oto jego rota:

Wielka Boga-Człowieka Matko. Najświętsza Dziewico! My, młodzież akademicka, z całej Polski zebrana, prawowierni spadkobiercy odwiecznej praojców naszych pobożności, upadając do stóp Twoich Przenajświętszych, Ciebie, Matkę Bożą i Królowę Korony Polskiej obieramy na wieczne czasy za Matkę i Patronkę Polskiej Młodzieży Akademickiej i oddajemy pod Twoją przemożną opiekę wszystkie wyższe Uczelnie i Polskę całą. Wsłuchani bowiem w mocarne głosy wielkiej przeszłości naszej, wpatrzeni w świetlane obrazy chwały narodowej, wierzymy mocno, że Ojczyzna miła wtedy tylko potężną i szczęśliwą będzie, gdy przy Tobie i Synu Twoim jako córa najlepsza wytrwa na wieki.

Przyrzekamy przeto i ślubujemy Chrystusowi Królowi i Tobie Królowej Naszej, Patronce Polskiej Młodzieży Akademickiej, że zawsze i wszędzie stać będziemy przy Świętej Wierze Kościoła Katolickiego w synowskiej uległości dla Stolicy Apostolskiej.

Przyrzekamy i ślubujemy, że wiary naszej bronić i według niej rządzić się będziemy w życiu naszem osobistem, rodzinnem, społecznem, narodowem, państwowem.

Przyrzekamy i ślubujemy, że z wszelką usilnością szerzyć będziemy cześć i nabożeństwo do Ciebie, że każdego roku w uroczystej pielgrzymce przychodzić będziemy na Jasną Górę, jako wybrani synowie Twoi do stóp Matki naszej umiłowanej.

Tak nam dopomóż Bóg i Ty Bogarodzico Dziewico, Bogiem sławiona Marjo!

Marjo, Patronko Polskiej Młodzieży Akademickiej módl się za nami.

Zarówno wielka, bo nigdy dotychczas w takiej liczbie nie zgromadzona ilość młodzieży, jak obecność najwyższych dostojników Polskiego Kościoła z Jego Eminencją ks. Prymasem na czele, zapowiadają aktowi obioru wielką powagę i uroczystość. Niemniejszą jest jego niezwykłość. Wprawdzie wydaje się, i tak jest istotnie, że jest rzeczą zupełnie naturalną i normalną, iż młodzież szuka sobie Najświętszej Opiekunki i ślubuje Jej wierność i cześć, aby sobie wyjednać Jej pomoc. Niezwykłe jest tylko, że akt taki dzieje się wogóle po raz pierwszy w Polsce i w całym świecie. Oznacza to, że polska młodzież pierwsza na świecie zbiorowo wkracza na tę drogę. To właśnie upoważnia nas do uznania dnia ślubowań za datę historyczną.

Fakt, że ślubowanie to zjednoczyło całą niemal polską młodzież, jest niezmiernie wymowny. W „Myślach Nowoczesnego Polaka" Roman Dmowski uczynił słuszną uwagę, że całą naszą historję XIX-ego wieku stworzyła młodzież. I dzisiaj także młodzież czuje się odpowiedzialną za losy narodu. Jeżeli do swojej przyszłej roli w życiu Polski młodzież będzie się przygotowywać pod opieką Marji i Chrystusa Pana, a zaczyna to aktem jasnogórskich ślubowań, przyszłość przedstawia się jasno.

W dniu 20 b. m. cały naród zjednoczy się ze swoją młodzieżą i będzie prosił Swoją Najświętszą Królowę o macierzyńską pomoc i opiekę.

PRASA FRANCUSKA WOBEC BLUMA

W JEDNYM z artykułów, poświęconych obecnej polityce francuskiej, naczelny redaktor „Warszawskiego Dziennika Narodowego" pisze: „Przerażenie natomiat ogarnia nas, szczerych frankofilów i czcicieli wielkiej kultury francuskiej, gdy obserwujemy zachowanie się, wobec zapowiedzi, że Blum jest *„ante portas"*, prasy francuskiej, będącej wyrazem opinji szerokich sfer".

Otóż szerokie sfery wypowiedziały się w głosowaniu, które przechyliło szalę zwycięstwa wyborczego na korzyść socjalistów i komunistów. Stwierdziwszy ten fakt, nie będziemy dociekać przyczyn, ale nie od rzeczy będzie nadmienić, że wielka prasa francuska, zwłaszcza paryska, oparta na zasadach czysto handlowych, musiała ten zwrot na lewo społeczeństwa francuskiego wziąć pod uwagę. Ton tych dzienników i tygodników jako przedsiębiorstw handlowych, opartych na dużych nakładach, zależny jest od tego zwrotu w opinji. Ale zależy też i od innego czynnika, a mianowicie tego, że prasa ta jest częściowo w rękach żydów. Ajencja Havasa jest pod wpływami żydów, a posiada ona około 200 pism prowincjonalnych i cztery dzienniki paryskie: *Le Journal*, kierowany przez żyda Geo Londona, *Le Petit Journal*, prowadzony przez żyda Georges Martina, radykalny *L'Oeuvre* i konserwatywny *L'Ami du Peuple*, którego główni współpracownicy są wolnomularzami. Ajencja Havasa za pośrednictwem firm podstawionych albo od niej uzależnionych, wydaje ponadto tak rozpowszechnione czasopisma, jak *Candide*, drukujący się w setkach tysięcy egzemplarzy, *Ric et Rac* i prawicowy tygodnik *Je suis partout*. Dalej znane *Annales* i słynne *Revue des deux Mondes*.

Zespoliwszy się finansowo z *Messageries Hachette*, ajencja Havasa uzyskała monopolistyczne niemal stanowisko w prasie francuskiej; od tych bowiem dwu instytucyj cała prasa francuska jest

gospodarczo uzależniona, od nich zależą informacje, ogłoszenia i rozprzedaż.

Co mówić o pismach socjalistycznych i komunistycznych, jak *Le Populaire* czy *L'Humanité*, kiedy pisma prawicowe, monarchistyczne bądź nawet katolickie bywają uzależnione od żydów. *Figaro* jest w rękach Wertheimera, *Le Matin* pod Nathanem (tak zwany Louis Forest), *Le Journal des Débats* ma Bluma, *L'Intransigeant* w rękach L. Louis-Dreyfusa, antymasoński *Le Jour*, wydawany jest przez Heckera, którego popierają wolnomularze, *Echo de Paris*, mające główny kontygent czytelników wśród sfer katolickich i wojskowych, wydawane jest przez Simonda i Hirscha (znanego w prasie francuskiej pod pseudonimem M. Hutin). Jeżeli dodamy, że drukujący się w setkach tysięcy egzemplarzy tygodnik *Gringoire* jest w rękach E. Weinsteina, który jest również akcjonarjuszem zażydzonej *Editions de France;* gdy wskażemy, iż znana *La Revue de France* jest w posiadaniu Rotszyldów i innych synów Izraela jak: Bauer, Lazard, Brunsvig, Blumenthal, Henbauer, Deutsch de la Merthe i Stern; jeśli dorzucimy jeszcze, że *Petit Bleu* jest kierowana przez żyda Oulmanna, a zaś *La Chronique Parlementaire* i *La Critique Littéraire* przez Silberta i Loewella, gdy dodamy, iż według informacji *World Service* i Boissel'a — nawet *Le Temps* jest pod wpływami żydów, to staje się zrozumiałe stanowisko prasy francuskiej wobec zapowiedzi, że Blum jest *ante portas*.

Nadto księgarskie firmy wydawnicze albo są żydowskie albo ze współudziałem żydów. A przez swoje różnorodne wydawnictwa mają także wpływ na opinję francuską.

Tu jest tajemnica takiego właśnie zachowania się prasy francuskiej, wobec którego istotnie może ogarniać przerażenie.

W. T.

NAUKA i LITERATURA

ZE ŚWIATA NAUKOWEGO

W wykonaniu uchwał Komitetu ogólnego polskich zjazdów filozoficznych, utworzył się Komitet Organizacyjny III polskiego zjazdu filozoficznego w Krakowie, w następującym składzie: przewodniczący Witold Rubczyński, zast. Tadeusz Garbowski, sekretarz Marjan Heitzman, skarbnik Ludwik Chmaj.

Zjazd odbędzie się w dniach 24—27 września 1936 r. w Krakowie w salach Uniw. Jagiell. Punktem ciężkości obrad Zjazdu będą dyskusje na posiedzeniach plenarnych toczone na temat główny: Współczesne prądy w nauce a potrzeba syntezy filozoficznej, ze szczególnem uwzględnieniem stosunku logiki do filozofji. Temat powyższy wybrano w przekonaniu, że wobec głębokich przemian, jakie w ostatnich czasach przejawiły się niemal we wszystkich dziedzinach myśli ludzkiej, jest rzeczą niezmiernie ważną jasne zdanie sobie sprawy z roli i oblicza współczesnej filozofji, oraz z jej stosunku do poszczególnych nauk.

Tło dyskusji stanowić będą referaty, których wygłoszenia podjęli się: z Warszawy J. Łukasiewicz, T. Kotarbiński, B. Gawecki, ze Lwowa L. Chwistek, z Poznania Z. Zawirski, z Krakowa T. Garbowski, W. Wilkosz.

Komitet zwraca się nietylko do filozofów i innych badaczy polskich, ale i do uczonych zagranicznych, a w szczególności słowiańskich, którzy objawili żywe zainteresowanie się rozwojem filozofji w Polsce, o wzięcie udziału w Zjeździe.

Opłata za członkostwo zwyczajne wynosi 10 zł, za nadzwyczajne 4 zł. Zgłoszenia udziału wraz z opłatą oraz tytuły zgłoszonych komunikatów należy przesyłać pod adresem Komitetu Organizacyjnego Zjazdu (Kraków, ul. J. Piłsudskiego 4) najpóźniej do dnia 15 czerwca, zaś streszczenia komunikatów najpóźniej do 15 sierpnia b. r.

Z RUCHU WYDAWNICZEGO

Po kilkuletniej przerwie wznowiono wydawanie „Bibljoteki filozoficznej klasyków", założonej przed 50-u laty przez Henryka Struwego. Tym razem ukazał się w niej dialog Platona „Menon". Odróżnia się on od tomów poprzednich już samą swą szatą zewnętrzną, która jest nader gustowna: druk czysty, harmonijnie dobrana okładka, kolorowe inicjały, poza tem zaś licznie porozmieszczane w tekście ilustracje, wykonane przez samego tłumacza, prof. Wł. Witwickiego, zasłużonego już poprzednio ogłoszeniem 11-tu utworów Platona.

Sam przekład też godzien wielkiej pochwały; jest wierny i jasny, czyta się go z przyjemnością; pewne utrudnienie sprawiać może tylko gdzieniegdzie używanie — za wzorem greckim — kontrastujących zaimków „ten" i „tamten", zamiast których należałoby raczej wprowadzać konkretne nazwanie danych rzeczy; niestety bowiem język polski jest w zaimki uboższy od greckiego, a w stosowaniu ich czy odróżnianiu mniej ścisły. Wielkiem ułatwieniem w lekturze są objaśnienia tłumacza, poparte *ad oculos* rysunkami geometrycznemi, gdzie idzie o słynny wywód heurystyczny. Jeżeli bowiom do Akademji Platońskiej mógł wchodzić tylko ten, kto znał geometrję, tedy do lektury „Menona" też geometrja się przyda.

W roztrząsaniu wywodów Sokratesa, Witwicki nieraz wysuwa domysł, jakoby to czy owo powiedzenie mędrca, brane dotąd jako sąd poważny, należało uważać za żart tego kpiarza. Czasem domysł taki istotnie jest przekonywający. Także przekonywająca jest polemika z Wilamowitzem Möllendorfem, który twierdził, że „Menon" jest niejako broszurą reklamową, mającą Platonowi pozyskiwać uczniów do Akademji.

Czekamy na dalsze przekłady Witwickiego. Tymczasem warto wskazań, iż oprócz wspomnianej bibljoteki klasyków filozofji, istnieje u nas jeszcze druga, wydawana przez Akademję Umiejętności. Wyróżnia się w niej prof. Adam Krokiewicz swemi świetnemi przekładami pism sceptyków. (J. B.)

*

Ukazała się obecnie „Statystyka druków, wydanych w Rzeczypospolitej Polskiej za kwartał IV roku 1935", wobec czego mamy już dane za cały rok ubiegły. Ogółem w r. 1935-ym ukazało się w Polsce 11,609 druków, w czem 4146 tak zwanych dokumentów życia społecznego, to jest różnych odezw, ulotek, katalogów, statutów i t. d., czyli że książek w roku ubiegłym wyszło 7463.

Pod względem języka wszystkie wydane druki dzielą się, jak następuje: w polskim 9546, w żargonie żydowskim i po hebrajsku 919, w ruskim (ukraińskim) 274, w niemieckim 236, we francuskim 175, w rosyjskim 50, w białoruskim 29, po łacinie 29 i w różnych językach 351.

Co do treści, najwięcej ukazało się dzieł naukowych, gdyż aż 3272, następnie wydawnictw popularnych 2210 tytułów, literatury pięknej 1356 i podręczników 525, wreszcie— jak już wspominaliśmy — tak zwanych dokumentów życia społecznego 4146.

Z ogólnej liczby wydanych w ciągu roku ubiegłego książek, 3058 miały objętość większą ponad 4 arkusze druku, resztę stanowiły drobne druki i broszury.

Z LITERATURY ZAGRANICZNEJ

Badaczy dziejów masonerji, jej stosunków wewnętrznych, organizacji oraz wpływu na życie społeczeństw europejskich, zainteresować może świeżo wydana książka *„La F — Maçonnerie danger social"* której autorem jest mistrz Wielkiej Loży Francji, Albert Vigneau. Książka ta odsłania między innemi niektóre tajemnice masonerji żydowskiej, t. zw. B'naï B'rith'u. Poza tem jest tu mowa o lożach wojskowych osiemnastego i dziewiętnastego wieku, o tem czem są „Rady Najwyższe" i t. p. Bardzo ciekawie przedstawia się opis jednego ze świeższych powiedzeń Loży, na którem łżono zwycięskich wodzów wielkiej wojny. Są tu również podane dokumenty stwierdzające, iż t. zw. „front ludowy" (*„Front populaire"*) z Lóż otrzymuje instrukcję i jak masonerja pcha rozmaite kraje do wojny przeciw narodom „faszystowskim". Książka ta zawiera sporo po raz pierwszy ogłoszonych dokumentów historycznych, dotyczących masonerji. (W. J.)

TEATR

„NIEUSPRAWIEDLIWIONA GODZINA"

W TEATRZE LETNIM wystawiono pięcioaktową komedję St. Bekeffiego p. t. „Nieusprawiedliwiona godzina".

Autor zaryzykował humoreskę na temat małżeństwa z uczenicą, zakochaną w szkole. Ponieważ nie bardzo byliśmy skorzy zajmować się psychologją sytuacji, przez autora niezbyt przemyślaną, zabawiliśmy się w krótką ankietę. Poprosiliśmy panienkę z VIII klasy, która była na tem przedstawieniu, aby nam opisała swoje wrażenia. Oto jej recenzja:

„Komedja jest bardzo wesoła, tylko trochę nieprawdopodobna z psychologicznego punktu widzenia. Pokazuje autor osiemnastoletnią panienkę która z klasy 7-ej wyszła zamąż za profesora uniwersytetu. Jest z nim bardzo szczęśliwa, ale do szczęścia kompletnego brakuje jej... szkolnego życia. Koniecznie chce uczęszczać do gimnazjum przez całą 8-mą klasę i zdać maturę. Mąż ma zajęte całe przedpołudnia, więc ona właśnie wtedy pokryjomu będzie chodziła do szkoły.

To jest nieprawdopodobne, bo któżby, rzuciwszy już raz budę w 7-mej klasie, mając piękny, wielki dom, mając okazję przyjmowania od rana do nocy miłych ludzi i przyjaciół, mając w perspektywie masę rozrywek i przyjemności (pomijając już istnienie samego męża), płonął tak rozpaczliwą tęsknotą za 8-mą klasą.

W szkole w dodatku powodzi się jej fatalnie, bo obowiązki pani domu nie pozwalają jej absolutnie na odrabianie lekcyj. Zapał Lili Jaeger do szkoły byłby zupełnie zrozumiały tylko wówczas, gdyby pannie chodziło o samą naukę, gdyby rozumiała, że 7 klas to rzeczywiście za mało i że wartoby uzyskać chociażby maturę. Ale Lili Jaeger, jak autor pokazuje, chodzi głównie o takie sensacje życia szkolnego, jak podpowiadanie, ściąganie, sekrety zwierzane przyjaciółkom i sekrety zwierzane przez przyjaciółki, jednem słowem — życie w stadku.

Ale takie właśnie postawienie kwestji dało Bekeffiemu pole do całego mnóstwa zabawnych sytuacyj, które wynikają głównie z komicznego zestawienia; „pani profesorowa", zamierająca ze strachu przed odpowiedzią, „pani profesorowa", rugana przez nauczyciela łaciny, „pani profesorowa" bijąca się na pauzie z koleżanką i t. d.

W 3-cim akcie pokazana jest na scenie klasa. Ten akt jest najlepszy. Role uczenic zostały odegrane wybornie".

Ot, i mamy recenzję. Możnaby to i owo do niej dodać ale nie warto. (G)

MUZYKA

„OPOWIEŚĆ O NASZYM DOMU"

„OPOWIEŚĆ o naszym domu"[1]) jest najlepszym komentarzem do twórczości Karola Szymanowskiego. Ukazała się, wywołując nawet... sporo niechęci wśród manjackich wpływologów, psując im ich wnioski wysnute z cierpliwej dłubaniny.

Byłem zawsze tego zdania i mówiłem niejednokrotnie, że największy wpływ na twórczość wielkiego „Katota" wywarł niewątpliwie dom rodziny—Tymoszówka: „...piękna, dobra i droga. I nie wiem, czy mógłbym rozstać się z nią na długo. Nie wiem, jak mógłbym zdala od niej żyć i pracować. Myślę, iż gdybym nie miał możności powrotu do niej co roku i pewności moralnego wypoczynku i spokojnej pracy przez trzy miesiące wakacyj w Tymoszówce, czułbym się jak człowiek, który musiałby wciąż pracować i być w ruchu a nie miałby możności usnąć"!

Słowa prawdziwe, a dziś tragiczne.

„...Tymoszówki już niema".

Brzmi to tak samo, jednakiego gatunku przepojone uczuciem, jak smutne wiersze Iłłakowiczówny ze „Słowika litewskiego".

Dawno, przez pokolenia oczekiwana linja, rysująca granice państwa, poza sobą zostawiła szmat Polski, jej cywilizacyjnych ośrodków.

Jednym z nich był dom tymoszowiecki „...wielki i trochę mroczny", napęczniały gośćmi, dla których musiano eksmitować co wieczór z jednego z pokojów gościnnych dwie żaby. Nad domem był strych.

„W jednem z okienek strychu osy zwiesiły swe szare woskowate gniazdo. U powały wisiała konopna przędza. Na podłodze, na zgrzebnych płachtach, suszyła się macierzanka, kwiat lipowy, rumianek i mięta. Na strychu pachniało miodem, kurzem i ziołami, a słońce rzucało przez okienka jaskrawe słupy światła, w których tańczył obłąkany wirem gruby kurz".

Ostatnio jedna z recenzyj paryskich po wystawieniu w Wielkiej Operze „Harnasiów" zaczęła się od krótkiego zdania: „*C'est du polonais*" — „To polskie". Idziemy z „Katotem" i jego rodzeństwem i rówieśnikami grzebać w gratach zawalających duszne poddasze. Przeglądamy kufry „...pełne staroświeckich strojów, pamiątek i odwiecznych roczników „Kłosów" i „Biesiady Literackiej"... To polskie.

Przeglądamy z pietyzmem pergaminy rodzinne z podpisami i pieczęciami królów. Oglądamy portrety rodowe poczynając od kasztelana Macieja Korwin-Szymanowskiego, posła do Rzymu z ramienia króla Władysława IV-go, którego sczerniały portret dzieciaki pytały wzrokiem o losy pana Wołodyjowskiego.

W Tymoszówce panowała muzyka.

W letnie wieczory rozbrzmiewała jakby „złota harfa, której strunami były: łagodny, jednostajny brzęk komarów i czuły dwugłos zasłuchanych w siebie żab". Dwa ulubione psy to Scherzo i Gama.

Nawet nieodłączne od ścian dworu polskiego duchy grały. „Kiedyś w nocy ktoś wziął głośny akord na fortepianie". „I dziwy opowiadał did Iwan, który w noce zimowe, gdy byliśmy w mieście, obchodził opustoszały dom, „o starym panu", który w wielkim salonie „hraje" nieraz na fortepianie".

Głęboką kulturę senatorskiej krwi przekazał Karolowi ojciec. „Grał doskonale i uznawał muzykę najlepszą. Grywał z dziećmi na cztery ręce Beethovena i Mozarta, dawał im najtrafniejsze wskazówki i od dzieciństwa wyrabiał w nich smak muzyczny".

Na parę dni przed śmiercią przepisywał nuty syna — jedno z preludjów lub etiudę *b-moll*.

Ciocia Żania Zaleska śpiewała o dzikich gąskach, które „...z onej to żałości, że nas porzuciły" gubiły pióreczka.

„Ciocia Żania w swej młodości brała lekcje śpiewu u słynnego profesora w Odesie. Miała też technikę śpiewaczą wysokiej klasy i ogromną kulturę, a nadewszystko wrodzoną, szlachetną interpretację".

„Śpiew kochano w naszym domu narówni z muzyką. Śpiewał każdy lepiej lub gorzej, ale zawsze muzykalnie. Śpiewano chórem i solo. — Śpiewano duety Moniuszki i Schumanna".

„Katot" pisywał w małym domku, „kompozytorni", stojącym w głębi ogrodu. Odrywał się wówczas od życia. Siedział przez dzień cały u siebie, skupiony nad wyraz. „Przywołany gongiem na obiad, jadł go w milczeniu, zapatrzony chłodnemi oczyma gdzieś daleko, ponad głowy siedzących

---

[1]) Zofja Szymanowska: „Opowieść o naszym domu". Książnica-Atlas. Str. 143.

przy stole. Śmiech i rozmowy nie dotyczyły go — przelatywały mimo jak rój wesołych trzmieli. Gdy godziło w niego zapytanie, na które koniecznie musiał dać odpowiedź, odpowiadał na nie ze zwykłą uprzejmością, lecz powoli i nie zaraz jakgdyby do tego pytania powracał zdaleka, jakgdyby przebijał się doń z trudem przez gąszcz swych myśli, odgradzających go od świata. Przez cały ten czas był jakgdyby obok życia — obok ważnych i wesołych tymoszowieckich spraw".

„Gdy letni wieczór gasł poza cerkiewką, a po znużonem upałem niebie wędrował chłodny i czujny księżyc — zapalano lampę z żółtym abażurem na okrągłym stole w salonie. Z otwartych okien salonu biła w niebo tajemnicza i cudowna Barkarola Chopina, lub Polonez *fis-moll*, idący przez świat — jakże samotny w swym opanowanym bólu — i zachwiany nagle żałosnem wspomnieniem rozdzierającego mazurka. A czasem wypełniał salon romantyczny Brahms, lub migotliwy Albeniz. Kołysała się wśród orzechowych drzew za oknem kolorowa i upojna, powracająca wciąż, jak pytanie o miłości, Szeherezada. Paliły się żarliwem, chłopięcem natchnieniem Warjacje na temat ludowy Katota — i szalał w drewnianym swym bólu żałosny Pietruszka. Mieszkańcy tymoszowieckiego domu na dźwięk muzyki wpełzali do salonu, jak węże oczarowane pieśnią zaklinacza. A dom tymoszowiecki przez otwarte swe okna tchnął muzyką. Muzyka była jego mózgiem i sercem. — I dziś, gdy dom już nie żyje, może jeszcze nocami, na prostym szmacie ziemi, gdzie stał niegdyś — jak okręt samotny na falach eteru — unosi się dusza jego i gra..."

— — — — — — — — — — — —

Miałem zamiar napisać recenzję i nawet zacząłem już z tego tonu. Widzę takie słowa, jak „komentarz", „wpływologja"... Począłem przerzucać kartki książki i, jak przy pierwszem czytaniu, uległem nieodpartemu jej urokowi. Urok to kobiecego serca i kultury płynącej z pokoleń poprzednich, — i lip i orzechów i rozległego dworu o pokojach położonych wzdłuż szerokiego korytarza ciągnącego się przez długość domu.

Boże, jakżebym chciał brać udział w tych zabawach pysznych, projektować z Nulą dekoracje i kostjumy, wyciągać z kufra stare przybory teatralne, urządzać kabarety w suterenie domu Karola Rościszewskiego! Co za świetna nazwa: *„Taverne à la Chauve Souris"!*

Jakżebym chciał urządzać ten cyrk z parodją Fausta!

Wybierałem zdania, podawałem garści cytat, by udzielić odrobinę tego uroku innym i ażeby łatwiej mi było kiedyś tłumaczyć, dlaczego powstały pierwsze preludja, cała twórczość aż do „Litanji" i IV-ej Symfonji, oraz gdzie jest źródło twórczości Karola Szymanowskiego.

„Katot pragnął zbadać i zgłębić wszystko. Chłonął książki i rozważał systematy filozoficzne. Zachwycał się poezją i rozmyślał nad zawiłym pasjansem". „...był taki dostępny i prosty". Obcy ludzie, nie zgłębiając zawiłych tajników jego wewnętrznej istoty, ulegali również czarowi jego dobroci". „Dziś bije weń świat".

„A Katot idzie przez życie — bezkompromisowy i do samozaparcia się lojalny—pod pozorami opanowania kryjący głęboką nieśmiałość".

„I niema dzisiaj domu w Tymoszówce — błękitnej przystani, w której chronićby się mógł przed czarnym nurtem życia".

Tymoszówka jest. Jest w jego wszystkich utworach od pierwszych preludjów aż po „Litanję" i IV-ą symfonję.

I ona to wywołuje, dosadne do głębi sięgające stwierdzenia: *„C'est du polonais"* — To polskie.

W. NARUSZ

FILM

RIALTO: „Ekscentryczna dama", film amerykański.

Jest w tej sympatycznej i zabawnej komedji pewien rys obyczajowy, nie wiem czy świadomie przez autorów filmu wtrącony. Oglądamy tu mianowicie kilku yankesów, którzy się już dorobili i teraz całą ambicją ich jest zachowywać się tak wytwornie, jak to przystoi osobom z najlepszego towarzystwa. Nawet gumy żuć nie chcą, „bo to poniża godność" — powiadają. Ale nie wszystkim imponują te wzniosłe zasady. Młodą panienkę (bo jest tu i panienka), która ma wyjść zamąż za młodzieńca „z godnością", serce ciągnie raczej ku pewnemu szaławile. Szaławiła o godności i zasadach dobrego wychowania nie zawsze pamięta, zato jest bardzo sympatyczny. Historja wahającej się panienki i panów, którzy do tego niezdecydowania walnie się przyczyniają, jest właśnie treścią filmu.

Najbardziej filmowo pojęta część utworu rozgrywa się na jachcie. Ponieważ postać młodego przedstawiciela *je men fiche*'yzmu wyładowuje się nietylko w słowie, ale i w geście i w sposobie bycia, słowem w sylwetce, zyskuje na tem komizm typu fimowego.

KANDYD

NOWE KSIĄŻKI

Konczyński Józef. Żydzi w Polsce w ostatniem dziesięcioleciu w oświetleniu cyfr statystycznych. Warsz., 1936. Str. 37.

Sokolnicki Michał. Czternaście lat. Warsz. 1936. Instytut badań najn. historji Polski. Str. 478.

Ossendowski F. Antoni. Puszcze polskie. Poznań, 1936. R. Wegner. Wyd. Polskie. Z wielu ilustracjami.

Niepodległość, marzec — kwiecień 1936. Zesz. 2 tomu XIII.

Freytag Lucjan Marjan. U źródła wiedzy i życia. Warsz., 1936. Str. 365.

Conrad Joseph. Wykolejeniec. Warsz., 1936. 2 t. Dom Ks. Polskiej.

Życzyński Henryk. A. Mickiewicz. I. Młodość. Lublin 1936. Tow. Nauk. Tom. IX. Str. 169.

Zieliński Stanisław. Bibljografja czasopism polskich zagranicą. 1830 — 1934. Warsz., 1935. Nakładem Światowego Związku Polaków z zagranicy. Str. 311 i mapa.

Bełcikowski Jan. O polską rzeczywistość w literaturze polskiej. Warsz., 1935. Str. 7.

Sulima Marjan. Kalinowym szlakiem. Powieść. Warsz. 1936. F. Hoesick.

Szelburg-Zarembina Ewa. Ludzie z wosku. (Powieść). Warsz., 1936. Gebethner i Wolff.

Orkan Władysław. Droga Czwartaków i inne wspomnienia. Warsz., 1936. Gebethner i Wolff.

Piechal Marjan Srebrna waga. (Poezje). Warsz. 1936. Mortkowicz.

Brzechwa Jan. Piołun i obłok (Poezje). Warsz., 1936. Mortkowicz.

Naglerowa Herminja. Krauzowie i inni. Powieść. T. I. Warsz., 1936. Mortkowicz.

Majdański W. Państwo rodziny. Kalisz, 1935. Nakładem autora. Str. 53.

Ruch prawniczy, ekonomiczny i socjologiczny. Poznań. Rok XVI, zeszyt 1.

Prus Bolesław. Pisma. T. II Kłopoty babuni. T. XIV Emancypantki t. I. — Tom XXI Dzieci. Gebethner i Wolff.

Makowiecki Tadeusz. Poeta-malarz. Studjum o St. Wyspiańskim. Warsz. 1935. Nakładem Tow. Lit. im. Mickiewicza.—Instytut Biblj. Polska. Str. 254.

Krzyżanowski Juljan. Paralele. Studjum porównawcze z pogranicza literatury i folkloru. Warsz. 1936. Nakładem Tow. Liter. im. Mickiewicza i Inst. Bibl. Polsk. Str. 236.

Gubrynowicz Bronisław. Studja literackie. Z portretem autora i wstępem Jul. Krzyżanowskiego. Warsz. 1935. Bibl. „Pamiętnika Lit.", t. II. Str. 311.

Dygasiński Adolf. Gody życia. Opowieść. Wydanie V. Warszawa (1936). Nakładem księgarni Cz. Kozłowskiego.

POKŁOSIE

ZAKAZANE WETY CUKROWE

W KRONICE sądowej pism można było czytać w ostatnich dniach sprawozdanie z niezwykłej rozprawy przed sądem w Grudziądzu. Jako oskarżone stanęły przed trybunałem gospodynie ze wsi Przełęka powiatu działdowskiego, a zarzucono im, że z buraków cukrowych wygotowały sok i tym sokiem, lub buraczaną marmeladą słodziły potrawy. Oskarżone, jak mówi sprawozdanie, tłumaczyły się z płaczem, że cukier drogi, więc w ten sposób chciały sobie poradzić i powidłami czy marmeladą z buraka smarowały chleb dzieciom. Sąd wydał wyrok, skazujący przestępczynie na kary po kilka dni aresztu, lub grzywny od 10 do 20 złotych.

Sąd orzekał naturalnie na podstawie obowiązujących ustaw i nie godzi się wyroku krytykować. Można natomiast podać w wątpliwość mądrość i sprawiedliwość samej ustawy, bo jeżeli w jakim wypadku, to właśnie chyba tu wymagania takiej ustawy stoją w stanowczej sprzeczności z poczuciem słuszności. Trudno będzie kogoś przekonać, że słuszne jest postanowienie, iż wyhodowany przez siebie burak można bezkarnie zjeść tylko w pewien określony sposób, np. na surowo; jeżeli natomiast ktoś wygotuje ów burak i odcedzi, to dopuszcza się przestępstwa, czy przekroczenia karanego aresztem.

Rozumiem, że ustawa broni interesów skarbu, pobierającego podatek od cukru, oraz interesów kartelu cukrowników. Ale czy to, co owe baby wiejskie dawały do spożywania dzieciom, nie uiściwszy akcyzy, było rzeczywiście tym produktem, od którego ustawa upoważnia pobieranie podatku konsumcyjnego, t. zn. czy było rzeczywiście cukrem, odpowiadającym wszelkim wymogom, jakie chemja i fizyka prawdziwemu cukrowi stawia? Oskarżone, proste kobiety nie potafiły się obronić. Mogły najwyżej powiedzieć, że to, co otrzymywały z buraków, było dalekie w smaku od kupnego cukru. Ale ekspert możeby zdołał przekonać sąd, że ten słodko-kwaśny syrop to nie jest jeszcze cukier.

W Anglji często można spotkać wypadki, że gdy sądy mają roztrzygać jakąś zasadniczą sprawę, a strony nie mają środków na przeprowadzenie należytej obrony czy ekspertyzy, tworzą się *ad hoc* zrzeszenia, które za zebrane pieniądze przeprowadzają całą sprawę według wszelkich reguł kunsztu prawniczego. Szkoda, że gospodyniom z Przełęki nikt nie przyszedł w tym wypadku z pomocą, może by się okazało, że nie są tak winne, jak utrzymuje to kartel cukrowników, który od paru lat już domagał się karania domowego wyrobu syropu buraczanego.

Nie jesteśmy więc pewni tego, jak sprawa właściwie stoi prawnie, coraz bardziej natomiast pewni jesteśmy naszej biedy, która nakazuje uciekać się do tak lichych namiastek, jak nieoczyszczony syrop buraczany.

Cena cukru została, jak wiadomo, w końcu ubiegłego roku obniżona, tak że zbliżyła się do poziomu, który można nazwać normalnym. Skutek nie kazał na siebie długo czekać: w pierwszym kwartale b. r. sprzedano cukru na rynku krajowym 82 tysiące ton, podczas gdy w pierwszym kwartale zeszłego roku sprzedaż wyniosła tylko 64 tysiące ton. Jest więc bardzo znaczne podniesienie się spożycia, mimo że przecież położenie gospodarcze nie zmieniło się tak dalece na lepsze. Podatek cukrowy obniżono również, a mimo to zwiększone spożycie nietylko wyrównało ubytek, lecz dało zwyżkę wpływów z podatku. A przytem pocieszające jest, iż mimo obniżki cen jakoś żadna cukrownia nie zbankrutowała, najwidoczniej więc jest i wilk syty i koza cała. Pod wilkiem oczywiście nie należy tu rozumieć ludu naszego, temu do cukrowej sytości bardzo jeszcze daleko, stoimy pod względem spożycia tego ważnego środka odżywczego na szarym końcu: przypada u nas niecałe 10 kg. na głowę rocznej konsumcji, podczas gdy Danja spożywa 58 kg. Anglja 48, Francja 46 kg. i t. d. Zwyżka w ostatnim kwartale wyniosłaby, policzona na rok, około 2 kg. na głowę, wrócilibyśmy więc do tej kwoty, jaką mieliśmy przed kryzysem.

Na drugim więc już produkcie widać, jak niezmiernie wyśrubowane ceny kartelowe obniżyły spożycie. Po rozwiązaniu kartelu cementowego ceny spadły odrazu i bardzo znacznie, a konsumcja wzrosła, tak że pozwoliła na uruchomienie nieczynnych fabryk. Teraz mamy to samo zjawisko z cukrem, tylko że to chyba jest jeszcze ważniejsze ze względu na rolę jaką cukier gra w racjonalnem odżywieniu. Wysoko był dotychczas podwieszony ten worek z cukrem, nieosiągalny dla ogromnej części ludności i to jest też jedną z przyczyn wzrastającego odsetka poborowych, odrzucanych jako niezdatni z powodu słabej budowy ciała.

Przemysł cukrowniczy miał u nas długie lata wyjątkowej konjunktury, chroniony przed konkurencją i osiągający ceny fantastycze w porównaniu z kosztami własnemi. Kto na tem skorzystał? Tu i owdzie niektórzy uprzywilejowani kierownicy, pobierając równie fantastyczne wynagrodzenia, jak wiadomo z kampanji, przeprowadzonej przez marszałka Trąmpczyńskiego. Według obliczeń niżej podpisanego wynagrodzenie dwu osób z zarządu jednej z cukrowni obciążyło cenę wyprodukowanego przez tę fabrykę cukru kwotą 6 groszy na kilo. Ale poza tymi szczęśliwcami kto jeszcze skorzystał na wygórowanych cenach, jakie musiało nasze zbiedzone społeczeństwo płacić za niezbędny produkt? W tych dniach odbyło się walne zebranie Banku Cukrownictwa, instytucji, która finansuje cały ten przemysł. Otóż w sprawozdaniu czytamy, że bank w dalszym ciągu uzyskiwał dla cukrownictwa poważne kredyty zagranicą. A więc mimo długich lat znakomitego prosperowania cukrownictwo nasze nie okrzepło do tego stopnia, żeby się obyć bez kredytów zagranicznych? Nie odłożyło sobie kapitału obrotowego i musi nadal odprowadzać część zysków zagranicę? Gdzież więc szły zyski? Pewno też zagranicę...

Tak oto ciekniemy przez wiele szczelin, jak pęknięty garnek i największe nasze przemysły, zamiast gromadzić bogactwo kraju, działają jak dreny wytaczające z organizmu gospodarczego soki żywotne i odprowadzające je zagranicę. A my tymczasem zgadzamy się nawet na to, żeby babę wiejską za posmarowanie chleba dziecku marmeladą z buraka wsadzać na tydzień do aresztu. Czy nie za wielki przywilej?

ARGUS

NA MARGINESIE

— Najulubieńszą zabawą elity jest „Wesoły ogrodnik". Panowie zasiadający w fotelach, obierają sobie różne nazwy: kwiatka, warzywa lub drzewa; na komendę zmieniają miejsca, a stojący pośrodku, czyha, jakby się usadowić. Komu fotel się wymknie, ten idzie do koła i czeka okazji.

Wiele przytem śmiechu, bo gwałt się robi za każdem przesileniem i wypychanie.

— Dawno ta zabawa weszła w modę?

— O, już od dziesięciu lat.

*

Po ograniczeniu kółek samopomocy koleżeńskiej wśród młodzieży akademickiej, założono oficjalne Towarzystwo Przyjaciół Młodzieży, które miało wyręczyć tych dorosłych zresztą ludzi w kłopotach gospodarczych.

— Jakże powiodła się ta etatyzacja? — zapytacie.

— Ano, dobrze. Towarzystwo nie miało nic do roboty, bo młodzieńcy krępowali się prosić dostojników o tanie obiady. Ale wiele osób miało posady, których dawniej nie było. Koszty administracji Warszawskiego Towarzystwa Przyjaciół wyniosły w ciągu roku 120.000 zł.

— Z jakiegoż to funduszu?

— Z opłat studenckich: Czesne!

TREŚĆ:

Adres Redakcji: Mokotowska 11 m. 5. Tel. 9. 25-46. Adres Administracji: Al. Jerozolimskie Nr. 17. Tel. 9-87-90.
PRZEDPŁATA kwart. zł. 9, półrocznie zł. 17, rocznie zł. 32, zagranicą kwart. zł. 12, półroczn. zł. 24, rocznie zł. 45.
Konto czekowe na P. K. O. 3.105.
Redaktor naczelny i wydawca: ZYGMUNT WASILEWSKI. Redaktor odpowiedzialny: JAN REMBIELIŃSKI.
Druk. SPOŁECZNA. Pl. Grzybowski 8/5. Tel. 205-80. PRZESYŁKA POCZTOWA OPŁACONA RYCZAŁTEM.